Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 26. Września 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 39.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Szlachcic przezorny.

Stwierdzoną wielokrotnie jest prawdą, że łby polskie przewyższają wszystkie inne twardością. Nie powiadamy tego w przenośni, ale w znaczeniu jak najbardziej literalnem. Twardość łbów polskich w przenośni dowieść się nie da: zaprzeczają jej liczne przykłady pojętności Polaków, jako też wyraźne ślady inteligencji polskiej w spółkowej pracy około postępu ludzkości. Tkwią tam i nasze trzy grosze. Myśmy tylko mężów stanu na własny nie mieli użytek, zresztą posiadaliśmy i uczonych, i artystów, i wojowników, i pracowników, godnych stanąć obok najpoważniejszych imion świata ucywilizowanego. To sobie przyznać możemy, nie szukając w tem fałszywej chluby, ani też uwodząc się fałszywą skromnością. Fakt zaś twardości głów odnosi się wprost do materjału na czaszkach. Czaszki polskie są twarde, nie dające się łatwo ani rozrąbywać, ani roztrzaskiwać. Jestto własciwość czysto fizyczna, stwierdzona nie raz i nie razy dziesięć. Stwierdzeniem onej była rozprawa z Tatarami przy hrybeckim kopcu. W pierwszem starciu nadziało się kilkunasu na dzidy tatarskie; w zamieszaniu atoli, gdy Tatarzy stłoczeni dzidami posługiwać się nie mogli, a tylko siekli szablami i tłukli buławami, rany otrzymał każdy prawie, nie zginął ani jeden. Rezultat ten nastąpił dzięki hartowności czaszek. Nie pękła żadna. Zwycięztwo ze strony polskiej okupionem było wcale tanio, kosztem ludzi trzydziestu do czterdziestu, z których połowa na polach już elizejskich przebywała, połowa tam się wybierała. Za to mniej więcej lekko rannych było dużo. Każdy niemal żołnierz z dwóch szwadronów prawoskrzydłowych oberwał.

Pan Maciej i Ostap, pani Małuska i niewiasta służebna, idąc na pole bitwy, spotkali szwadrony te z powrotem. Co na którego spojrzeć, każdy był zakrwawiony, niektórzy zaś tzymali się na siodłach dla tego tylko, że koledzy ich podtrzymywali.

Stanęli na stronie i czekali aż hufce przeciągną. Na przodzie szła setnia kozacza. Setnik, mołojec siwy, który atak prowadził, miał wąsy krwią zalepione. Zrównawszy się zjegomością, pozdrowienie rzucił.

Jegomość pozdrowienie oddał:

— Daj Boże zdorowla...

Setnik jednak nie słyszał, zdaje się, tego — odjechał.

Za setnią, w oddaleniu niejakiem, ciągnęła chorągiew piatyhorska.

— Tu gdzieś będzie nasz Jurek... — rzekł Ostap półgłosem.

Jegomość oczami syna szukał; lecz nie on go pierwszy znalazł. Stara pani Małuska zoczyła wnuka i krzyknęła:

— Jezu najsłodszy!...

W tejże chwili i pan Maciej syna spostrzegł. Należał on do tych, którzy na siodle o sile własnej trzymać się nie mogli. Siedział i chwiał się, głowę zwieszał i spluwał. Pan Maciej podstąpił do niego. Piatyhorce, co go podtrzymywali, stanęli. Pani Małuska z frasobliwą trwogą do wnuka się zbliżyła:

— Jurku!... dziecko moje!... Co tobie?...

— Ej, babuniu, nic to... ej... nic...

Nadjechał rotmistrz.

— Syn waszmości?... — zapytał pana Macieja.

— Tak, mości panie...

— Oberwał... wygoi się... Weź go jeno waszmość: ja pułkownikowi o tem dołożę...

Zdjęto go z konia. Stara pani Małuska rozpoczęła opatrywanie rannych od opatrzenia wnuka, któremu rany obmyła, oczyściła, płótnem założyła i obwiązała. Jurek miał i cięcie i pchnięcie i stłuczenie, orkiestra cała w komplecie. Dostał buławą w łeb i gdyby Polakiem nie był, miałby czaszkę strzaskaną: jemu jeno skóra pękła i krew mu oblicze zbryzgała.

— No?... — zapytała staruszka, gdy wnuka obandażowała — cóż teraz?

— Niech go Ostap na futor odprowadzi... — odrzekł jegomość.

— Nie Ostap, a ty — odparła matka. My się tu bez ciebie obejdziemy, a tam Elżbietę trzeba będzie mądrem ułagodzić słówkiem... Gdy zobaczy syna rannego, będzie się się jej wydawało Bóg wie co...

Pan Maciej nie mógł nie przyznać słuszności słowom matki. Przy pomocy dziada i służebnej wsadził syna na siodło i idąc obok, ręką go podtrzymywał. Staruszka i Ostap udali się na pobojowisko.

Wkrótce po nich przyciągnęło tam, jeden po drugim, dziadów kilku z futorów różnych.

Dziadowie ci w czasach owych, w których lekarze byli rzadkością a przy wojskach nie znajdowali się wcale, pełnili funkcją służby zdrowia. Służba ich wiele pozostawiała do życzenia, a najprzód obchodziła się bez instrumentów chirurgicznych i bez bandaży. W te ostatnie zazwyczaj żołnierze zaopatrywali się sami na wy-

dek wszelki. Płótna w kształcie powijaków dziecinnych podarte i plastry należały do drobiazgów, jakie każdy wojskowy miał przy sobie. Lżej ranni opatrywali się sami; ciężko ranni pozostawali na łasce kolegów. Najgorzej było, kiedy nieprzyjaciel plac boju otrzymał. Dobijanie rannych kwitło jeszcze w czasach owych w pełni całej: szanowanie nieprzyjaciela powalonego jest zdobyczą czasów nowszych, osiągniętą wskutek złagodzenia obyczajów pod naciskiem postępu. Nie wymyślajmyż na postęp!

Rozrzewniającym był widok staruszki, niosącej rannym pomoc. Rzecz prosta, z pomocą spieszyła ona swoim. Tatarów omijała. Za złe jej tego brać nie można: była dzieckiem wieku swego. Dziadowie jej pomagali, a tymczasem mało po mału pojawiać się poczęły i baby i kobiety młodsze; pojawiać się też poczęli i ludzie w sile wieku. Prawda wyznać nakazuje, że nie wszyscy oni przychodzili w zamiarach chwalebnych. Lecz przyszły wozy przez pułkownika przysłane a sianem napełnione i rannych pozabierały.

Stało się to na chwilkę przed słońca zachodem. Staruszka z Ostapem i z workami wypróżnionemi powróciła na futor.

Pan Maciej poprzedził ją na jakich godzin trzy. Przewidywanie jej ziściło się. Pani Maciejowa na widok syna z zawiązaną głową takiego napadu żalu doznała, że jegomość zmuszonym się ujrzał zaapostrofować ją wyrazem: »głupia!«

— Głupia! głupia!... — przemówił sentencjonalnie. Czyż mu co krzykami pomożesz?

— Ależ on... Juraś mój! dziecko moje!...

— On twój Juraś, twoje dziecko... nikt ci go nie odbierze... Dziękuj Panu Bogu, że oberwał tuż koło domu, nie zaś gdzieś daleko, gdzieby na obce przeszedł ręce...

Uwaga ta sprowadziła na panią Maciejową opamiętanie. Przestała lamentować i pomogła syna do izby wprowadzić.

— Położyć go... gdzie?... ach!... — zawołała. Nie ma gdzie indziej jeno w alkierzu...

— A taż chora?... — zapytał pan Maciej.

— Chora?... — odparła kobieta w zakłopotaniu. Nie możnaby jej przenieść?...

— Dokąd?...

— Tak, dokąd?... Ale czyż można, żeby obca jakaś zabierała miejsce dziecku memu własnemu?...

— Ta obca jest dzieckiem rodziców nieobecnych, którzy jej pomocy udzielić nie mogą...

— Więc jakże... mój Boże!...

— Przyrządzimy dla Jurka legowisko tu, w świetlicy, sami zaś, zdrowi, przeniesiem się częścią do czeladnej, częścią do chaty w brzezinie...

Poczciwa w gruncie pani Maciejowa zaaprobowała projekt męża i czasu nie tracąc, zajęła się przyrządzaniem łóżka dla syna. Mąż pomógł jej w ustawieniu tapczana, wbijając w podłogę słupki, reprezentujące nogi i układając na takowych deski. Na deski poszedł siennik świeżem wypchany sianem. Siennik przykryty został kilimkiem, kilimek prześcieradłem; ułożyła poduszki, dała okrycie i łóżko całe wygodne stanęło w pogotowiu.

Jurek położył się i odetchnął.

Matka odetchnięcie to wzięła za symptom stanu chorobliwego i z troskliwością go o powód onego zapytała.

— Ach!... — odrzekł — tak mi dobrze!... Toć ja nie pamiętam kiedym w łóżku leżał...

— Boli ciebie?

— Ano... Boli tam trochę, ale to przejdzie... Jak mnie hultaj jakiś w łeb trzasnął, to mi aż pomoroki zabił...

— Jurasiu, dziecko moje!... — przemawiała, za rękę go trzymając i w oczy mu patrząc.

— Ino, mamo, nie pieść mnie... Już ja nie dziecko...

— Nie dzieckoś dla ludzi, ale nie dla mnie...

- Jeżeli się rozpieszczę zbytecznie, to da Bóg wiosny doczekać, nie zechce mi się do chorągwi wracać... — rzekł żartem.

Pani Maciejowa westchnęła na to głęboko.

Chorągwiany młodzi żywot stanowił w czasie owym wielkie matek wielu utrapienie.

— Mnie nic się nie stanie złego... — ciągnął młody człowiek dalej. — Poleżę z ruski miesiąc i przyschnie to na mnie... Cóż tam ta pani, com to ją wczoraj na plecach przydźwigał?... — zapytał.

— Ta pani!... a! — odparła pani Maciejowa.

Wstała, do drzwi alkierza na palcach się zbliżyła i próg przestąpiła.

Chora znajdowała się w momencie przytomności umysłu, sprowadzonej ustąpieniem gorączki. Ujrzawszy panią Maciejowa na progu, uśmiechnęła się do niej. Uśmiech pociągnął kobietę poczciwą, która przed chwilą zamierzała z łóżka ją wyrzucić. Podeszła do jej wezgłowia. Chora zapytała:

— Czy to wieczór?

— Wieczór, serce... — odparła jejmość.

— Tak mi ten dzień przeszedł spokojnie!...

— Chwała Bogu!...

— Wszak ja chora?... nie prawdaż?...

— Tak, nie domagasz trochę... Bóg jednak łaskaw da, że to przeminie rychło...

— Wydaje się mi, jakbym długi jakiś, długi bardzo sen miała...

— Sen mara, Bóg wiara.

— Nie opuszczaj mnie, pani kochana... Ja bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

Wymówiła wyrazy powyższe głosem tak tkliwym, że się na sercu jejmości łzawo zrobiło; ujęła nieznajomą za dłoń, pogłaskała jej rękę i w obawie obudzenia w niej wspomnień jakich drażliwych, nie śmiała zadawać pytań, tyczących się stanu i nazwiska. Chora milczała w zadumie smutnej pogrążona. Pani Maciejowa podała jej napój i przeszła do syna.

Od syna po niejakimś czasie znów zajrzała do chorej. O zachodzie słońca nieznajoma zasnęła. Wkrótce potem nadeszła stara pani Małuska z Ostapem. Rodzina zgromadziła się w izbie czeladnej; tam wieczerzano i z tamtąd udano się na spoczynek, rozchodząc się, ci na strych, owi na zapiecek, inni pod szopę. Chora zajmowała łóżko państwa Małuskich; w świetlicy stało łóżko pani Janowej. Po oddaniu alkierza nieznajomej i świetlicy Jurkowi, państwo Maciejostwo i pani Okiniczowa z dziećmi pozostali bez legowisk. Sama tylko staruszka zachowała swój kącik, reszta rodziny mieścić się musiała w sposób dorywczy, ścieląc sobie na ławach i na podłodze. Okrom tego jednej z kobiet czuwać wypadało przy chorych, których dwoje było do obsługiwania.

Zaświecono lampkę, postawiono ją na progu — czuwanie wzięła na siebie jejmość. Noc przeszła spokojnie. Nieznajoma bredziła trochę; Jurek zasnął zrazu snem twardym; nad ranem zaś i on bredzić począł.

Nazajutrz dzień rozpoczął się od zwykłych zajęć gospodarskich, któreby poszły zwyczajnym trybem, gdyby nie dwa zdarzenia, które chwilowy zamęt wprowadziły. Pierwszem było przejście mimo futoru jeńców z jassyru wyswobodzonych, drugiem odwiedziny pułkownika.

Czy to dla oszczędzenia jeńcom widoku pobojowiska, czy też dla wprowadzenia wozów w porządek, czyli dla innego jakiego powodu, punkt wsiadania na wozy wyznaczonym został dalej nieco, za hrybeckim kopcem. Trzeba było do punktu tego iść parowem aż do futoru, a ztamtąd drożyną leśną. Jeńcy przeciągając, gdy ujrzeli zabudowania porządniej na pozór wyglądające, zachodzili pod pozorami rozmaitemi. Ten chciał się rozpytać o coś; owa prosiła o wodę; inna zajrzała przez ciekawość prostą. Przyjmowano ich w czeladnej, z powodu zajęcia świetlicy przez chorego Jurka. Zdaje się, że nic innego jeno ciekawość sprowadziła Franusię, która wpadła, drzwi od świetlicy otworzyła, weszła, popatrzyła na Jurka, zajrzała do alkierza, popatrzyła na odwróconą w tym momencie od ściany nieznajomą, wyszła i do izby czeladnej się wsunęła, gdzie zasiadła na ławie w szeregu kilkorga innych eksjeńców tatarskich. Rozmowa toczyła się głośno. Pani Janowa przed wejściem właśnie Franusi zapytywała o chorą nieznajomą, znalezioną na polach hrybeckich. Eksjeńcy, zamiast jej na zapytanie odpowiedzieć, rozpowiadali o przygodach własnych. Jejmość jakaś narzekała na to, że jej do domu bardzo daleko, aż pod Jarmolińce.

— A mnie!... — odezwała się Franusia — mnie ciągnąć trzeba do Lwowa samego...

— Do Lwowa?... mój Boże!... — odrzekła pani Janowa. — Tatarzy aż tam byli!...

— To jest, tam oni teraz nie byli... Jechałam z państwem, na drodze nas przydybali i zabrali...

— Gdzież państwo?...

— Bóg święty wiedzieć raczy, gdzie oni... Pana gdzieś od razu zapodzieli, a pani przepadła na drodze z czambułu... Z nią

biedaczką — westchnęła — coś te bezbożniki zrobili!...

— Ach! że bezbożniki, to bezbożniki!... — pochwyciła inna. Mnie, jak pochwycili, to milę bez mała za szyję na powrozie prowadzili...

Inna znów coś dodała innego. Aż znów się Franusia odezwała:

— Zaszłam przypadkiem przez sień na tamtą stronę. U państwa tu widzę chorzy...

— Widziała pani oboje?... — zapytała pani Janowa.

— Widziałam...

Tu znów ktoś postronną jakąś wtrącił materję, aż przybyli przechodnie nowi, posiedzieli, pogadali i w końcu się wszyscy z futoru wynieśli.

Franusia niemal się o panią Krystynę otarła.

Tak to często ludziom się zdarza!

Jeńcy przeszli; znów spokój na futor powrócił; kiedy około południa jakoś wjechało na podwórko konno ludzi kilku. Gdy z koni zsiadali, jegomość na powitanie ich pospieszył. Główną pomiędzy nimi figurą był pułkownik. Ten podał staremu szlachcicowi dłoń, uścisnął i rzekł:

— Przybywam do waszmości w odwiedziny...

— Czynisz mi zaszczyt, mości pułkowniku... — odpowiedział jegomość.

— Nie spodziewałem się w tej stronie ludzi stanu rycerskiego... Nie mówię, tam... wyżej... jak Czeczelnik, Olhopol... Ale tu?...

— Ha! ziemi się trzymamy nogami i rękami...

— I na futorach — rzekł, obejście od oka oglądając — uchowujecie się?...

— Jako tako... Las, a do lasu Tatarzy zaglądają nie radzi...

— Hm!... — mruknął pułkownik, okiem po chałupie powodząc.

— Prosiłbym was, mości pułkowniku, do środka, ale w świetlicy leży syn mój ranny, w alkierzu jakaś nieznajoma pani chora.

— A! syn waszmości ranny... Dzielnie się spisała chorągiew jego... Przy relacji o potrzebie nie omieszkam wspomnieć o nim jego królewskiej mości, który jest nam w chwili obecnej królem i hetmanem w osobie jednej...

— Dziękuję uniżenie waszmości, panie pułkowniku!

— Syn wasz mocno oberwał?...

— Nie zdaje się. Wszelako...

— Cóż to za pani nieznajoma?... — zapytał pułkownik.

— Pan Bóg to wiedzieć raczy... Znaleźliśmy ją w burzanach pozawczoraj, kiedyśmy padaliczne zbierali zboże... Niczego się od niej dowiedzieć nie można!...

— Ukrywa się z nazwiskiem swojem?

— Znaleźliśmy ją w gorączce i gorączka jej nie opuszcza... Albo milczy albo bredzi...

— Z tego co bredzi wymiarkować czego nie można?...

— Miewa na języku to wojewodzinę jakąś, to jakąś Franusię, to jakiegoś Prokopa...

Pułkownik ramionami wzruszył i rzekł:

— Nie mógłbym zobaczyć jej?...

— I owszem... Zapytam jeno niewiast, czy nie śpi...

Przywołał jejmość, która pułkownikowi nizko dygnęła i ze spuszczonemi oczami polecenia męża wysłuchała.

— Tylko — dodał pułkownik ze strony swojej — jeżeli śpi, to budzić jej nie trzeba... niech śpi

Pokazało się, że w rzeczy samej uśpioną była.. Pani Maciejowa, powróciwszy z wiadomością tą, nie omieszkała dołożyć zaprosin pułkownika na obiadek.

— Jeżeli się mościwemu panu i dobrodziejowi nie spieszy, to mógłby waszmość dobrodziej i nam honor zrobić i obudzenia chorej się doczekać...

— Owszem, owszem... — pułkownik na to. — Spieszyć mi się nie spieszy, albowiem nie prędzej jak po powrocie wysłanych ku Dzikim Polom szwadronów mogę się w pochód z powrotem puszczać... Mam przeto czasu dosyć...

Jejmość podziękowała; zawinęła się; wyniosła wnet domowej roboty dywanik, którym przykryła przyźbę. Jegomość gościa siedzieć poprosił i rozmową go zabawiał, rozpowiadając mu o podstępach, jakich się ludność na Pobereżu dopuszcza, celem zamaskowania przed Tatarami miejsca pobytu swego.

— Mieszkamy — powiadał — futorami, pojedyńczo, chałupa od chałupy daleko, nie na widoku... no, i pilnujemy się, tak, że wielkiego trzeba nieszczęścia, ażeby nas Tatarzy na miejscu zachwycili...

— Po lasach rozumiem — zauważył pułkownik. — Ale w szczerem polu?...

— A i w polu miejsce na chatę wybiera się takie, ażeby było gdzie wyciec... Na pierwszą trwogę ludzie rozbiegają się, każde w swoją stronę, przylegając w stepie, jedno w trawie, drugie pod bodiakiem, inne w trawnikach... Zdarza się nieraz, że Tatar przejedzie mimo człowieka, tak iż koń go kopytem nadepce i jedzie dalej... Dlatego to Tatarzy od nas biorą jassyr mniejszy, aniżeli z dalszych województwa bracławskiego części, albo z Podola...

Pułkownik rozpytywał się następnie o sposoby uprawy roli. Jegomość tłumaczył, że rola uprawia się zawsze, jak tylko jest moment spokoju.

— Oto i teraz — mówił — natychmiast od jutra weźmiemy się do orania i będziem orali, ile zmożemy... Co się obsieje, to obsieje... W roku zeszłym w jesieni i w tym na wiosnę nie mogliśmy orać i siać... Pan Bóg nam daje ziarno padaliczne, więc tem się ratujemy... W tym roku mieliśmy jeno prosa trochę i hreczki...

Wśród takiej rozmowy jejmość wyniosła stolik, który przed przyźbą postawiła i obrusem białym, chociaż grubym, okryła. Wyniosła następnie talerzy cynowych kilka, drewniane łyżki i nożów parę. Grabki świeciły nieobecnością, równie jak i dzbany lub butelki z napojem serce rozweselającym. Dwie butelki miodu, które w piwnicy pozostały, jegomość chował jako doświadczone w chorobach niektórych lekarstwo i dlatego nie szedł po nie. Zastawę stołu dopełniała miseczka z solą i chleba razowego bochenek. Jako danie pierwsze wystąpiła kasza jaglana z mlekiem. Pułkownik wziął się do jadła ochoczo, a biorąc do ręki łyżkę, powiedział:

— Ej jagły!... specjał mazowiecki...

— Waszmość, panie pułkowniku, jeśli zapytać wolno, z Mazurów? — odezwał się jegomość.

— Nie, ja od Krakowa.

— Bo mnie coś mowa wasza mazowiecką się wydała...

— No, tak... Krakowiacy i Mazurowie zacinają jednakowo...

Do stołu zasiadły i kobiety: stara Małuska, pani Janowa z dziećmi. Jegomość każdą z osobna przedstawiał pułkownikowi, który każdą pozdrawiał uprzejmie, dzieci zaś przygarnął do siebie i po głowinach głaskał, zapytując o ojca. Na zapytanie to pani Janowa westchnęła, a jegomość odpowiedział:

— Zięć mój, Jan Okinicz, w pancernych...

— Z wiosny, jak poszedł, tak o nim ani słychu... — dodała pani Janowa. — Może wielmożność wasza wie co?...

— Z pancernymi nie spotykałem się w tym roku...

— O, żeby też Pan Bóg wszechmogący pozwolił się go na zimę doczekać!... — westchnęła młoda jejmość — ta, żeby już w domu pozostać mógł!...

— Trzeba się spodziewać, że pokój nastąpi... — zaczął pułkownik. — Wojska nasze zdobywają grody i zamki w podolskiem i bracławskiem województwie, oczyszczają kraj, i gdy Kamieniec dostaną, będzie koniec...

— O, dałby to Wszechmogący... — rzekły kobiety razem prawie, biorąc słowa pułkownika w znaczeniu wyrzeczeń ewangielicznych.

Jegomość głową jeno wstrząsnął.

— Król wojownik... Turcy go się boją i szanują — ciągnął pułkownik, odpowiadając niejako na wstrząśnienie głową pana Macieja — nie będą tentowali wojny nowej, mając zwłaszcza Chocim w pamięci świeżej... Dwory przytem niemiecki i francuzki... francuzki osobliwie... królowa francuzka...

— Dałby to Bóg, ażeby się święciły słowa waszmości... — wtrącił jegomość. — Pora by już rzeczypospolitej wypocząć i poprawą się zająć...

Potrącił strunę, która nie odbrzękła. Pułkownik był snadź tego przekonania, że człowiek w lesie mieszkający, nie może posiadać jasnego o potrzebach rzeczypospolitej wyobrażenia, pomimo że człowiek ów szlachcicem był. Prawda, że wyobrażenia pana Macieja jednostronnemi być musiały. Jednostronność ta atoli płynęła z dolegliwości, które ze swojej strony odnosiły się wprost do wad, domagających się poprawy jak najprędszej i jak najskuteczniejszej. Chodziło tu o spożytkowanie stosowne ogromnych sił wewnętrznych, drzemiących w łonie narodu, a neutralizowanych przez błędne zastosowywanie środków i sposobów. Pan Maciej nie potrafiłby wyłożyć teorji ustroju państwowego; mógł

*

jednak powiedzieć co go boli i na przyczyny bólów palcem ukazać.

Pułkownik zjadł kaszy jaglanej z mlekiem talerz pełny i następnie wziął się do schaba ze śliwkami, załatwiwszy się zaś ze schabem, przystąpił do hreczuszków. Na hreczuszkach obiad się skończył. Spółbiesiadnicy od stołu wstali i Panu Bogu podziękowali. Pani Maciejowa oznajmiła, że chora nie śpi.

Daremnemi jednakże okazały się odwiedziny pułkownika u nieznajomej. Wszedł do alkierza, popatrzył, słów kilka przemówił, otrzymał odpowiedź niejasną i ramionami ścisnął. Pogadał następnie z Jurkiem, którego gorączka na dobre już rozbierała. Z chorymi nie było co do gadania. Wyszedł więc na podwórze i w następujący jegomości zaczepił sposób:

— Radbym się ze sprawcą zwycięztwa, z pasiecznikiem waszmościnym widzieć... Gdzie on?...

— W pasiece...

— Każ go przywołać waszmość...

— Przywołać!... — podchwycił jegomość. — Nie tak to łatwo... On się przywoływać nie pozwala...

— Do pasieki więc chodźmy...

Poszli. Napróżno jednak szukali starca w chałupie i dokoła chałupy; napróżno pan Maciej hukał i nawoływał: nie było go nigdzie. Może i był, ale nie odzywał się. Na szukaniu stracili czasu niemało, aż wreszcie pułkownik ręką machnął i rzekł:

— No, nie ma co... Oddać jednak muszę *suum cuique*... Składając relacją królowi, zasługę bitwy wygranej przyznam pasiecznikowi waszmościnemu i nie wątpię, że spotka go ze strony króla nagroda stosowna... Bardzo być może, że król jegomość wezwie go przed oblicze swoje...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MYŚLI i ZDANIA NAPOLEONA III.

(Wilhelmshöhe, 1871. Souvénirs de la captivité de Napoléon III, par A. Mels, Paris, 1880).

Do katastrofy sedańskiej Napoleon III uchodził za człowieka bardzo mądrego i bardzo przebiegłego. Gdy upadł, opinja publiczna nietylko, że tak powiemy, odarła go z majestatu purpury cezarów, lecz odmówiła mu nawet zwykłego rozumu. Człowiek, który przez dwadzieścia lat rządził Francją, stał się raptem w jej oczach idjotą. I jedno i drugie, było niesłusznem; prawda leży po środku. Ostatni cesarz Francuzów ani był geniuszem, ani też człowiekiem tak bardzo pospolitym. Pominąwszy wady charakteru, każdy powinien mu przyznać zdolności nie tak bardzo zwykłe; pojmował on i przewidywał dużo, sąd jego o rzeczach nieraz okazał się bardzo trafnym.

Znany publicysta niemiecki p. Mels, wydał niedawno w Paryżu książkę bardzo zajmującą. Jest to zbiór rozmów, jakie miał z cesarzem podczas jego niewoli niemieckiej. Były one ogłoszone już przedtem, porozrzucane po różnych dziennikach; dziś zebrał je tylko w jedno. Historja tej książki jest taka:

Po ogłoszeniu wojny 1870 roku, jedno z najbardziej rozpowszechnionych piór niemieckich, a mianowicie drezdeńskie *Gartenlaube*, wysłało pana Melsa na plac boju w charakterze korespondenta swojego, lecz mu się nie udało. Bo gdy przyjechał p. Mels do armji, teraźniejszy marszałek Manteuffel, z przyczyn niewiadomych, nie tylko, że zabronił mu wszelkiego w armji pobytu, pod jakimkolwiekbądź pretekstem, ale się i patrzeć na nią choćby zdaleka nie dał. Oświadczył kategorycznie, że w razie uporu, każe go aresztować i pod konwojem do Niemiec odesłać. Nie było co robić i p. Mels pozostał w Frankfurcie, czy też Kolonji. Po kapitulacji sedańskiej i odwiezieniu Napoleona do Wilhemshöhe, redakcja dziennika *Times* zaproponowała p. Melsowi udać się tamże dla pisania korespodencji o cesarzu w niewoli. Pan Mels przyjął propozycję, i przyjechawszy na miejsce, nie myśląc długo, wystosował list do cesarza z prośbą o posłuchanie. Stało się zadość prośbie, publicysta z cesarzem coraz częściej poczęli się widywać, i ztąd urosło dzieło, z którego chcemy dać kilka wyjątków.

Cesarz wiedział, że każde jego słowo będzie wydrukowane, ale na wstępie raz na zawsze oświadczył stanowczo, że nie chce i nie będzie czytać w rękopiśmie tego, co Mels o nim napisze. „Pisz pan co się panu spodoba, rzekł cesarz, ale nigdy nie pokazuj mi tego coś napisał.“ Naturalnie, że autor nie mógł pozostać nieczułym na widok tak wielkiego nieszczęścia i powziął niebawem sympatję dla monarchy strąconego z tronu. Widać to z jego o nim sprawozdań, lecz z drugiej strony i to widać, że pomimo owych sympatji, wystrzega się jak najmocniej wszelkich pochlebstw lub uniewinień i jest zawsze objektywnym. Opowiadania jego noszą cechę prawdy, a zresztą nie mógł inaczej pisać, wiedząc, że wszystko co poszle do dzienników niemieckich, angielskich lub włoskich, cesarz w kilka dni potem przeczyta.

Z porządku rzeczy podajemy naprzód wyjątek o powodach wojny:

— Oskarżają mię — mówił Napoleon III, żem przeważnie z pobudek dynastycznych wywołał tę wojnę, a zapominają, że gdybym miał na widoku wyłącznie mój własny interes, to byłbym powinien się cieszyć zwyniesienia na tron hiszpański księcia hohenzollernskiego, który mi jest podwójnie krewnym, i jako prawnuk Karoliny Bonaparte i jako wnuk Stefanji Beauharnais. I przeciw niemu-to miałbym występować z pobudek osobistych?!... Pokrewieństwo jego z domem pruskim niknie w pomroce wieków — niektórzy nawet zaprzeczają temu— pokrewieństwo zaś ze mną jest świeżej daty. A pamiętaj pan i to jeszcze, że ojciec jego, książę Antoni, był w młodości najlepszym moim przyjacielem, że lata wcale nie zwolniły węzłów tej naszej przyjaźni, a wtedy dopiero pojmiesz, że opierając się tak silnie przyjęciu korony hiszpańskiej przez kuzyna, nie działałem w interesie *mojego domu*.

„Większość mych nieprzyjaciół, ciągnął dalej cesarz ze smutnym uśmiechem, ciągle tylko suszy sobie głowę nad wymyśleniem czegoś, chociażby najbardziej pozbawionego sensu, byle mi tylko zaszkodzić. Sami nie wierzą temu co mówią, ale to nic nie szkodzi, bo tymczasem drudzy powtarzają za nimi i bajka się rozchodzi.“

— Ale czyż istotnie — ośmieliłem się zapytać, groziło Francji niebezpieczeństwo z osadzenia Hohenzollerna na tronie hiszpańskim?

— Nie inaczej — odparł cesarz.— W dwa, trzy lata najdalej, byłby zrzucony z tronu, a Prusy wtedy nie omieszkałyby się wtrącić do spraw hiszpańskich. Państwo z takiem znaczeniem, jak wasze dzisiejsze Nowe Niemcy, nie powinno i nie może pozwolić, ażeby książę oficjalnie należący do *domu* jego, mógł być wypędzony z kraju, który się zgodził przyjąć lub wybrać go sobie na króla. Ten właśnie wzgląd powodował mną w sprawie księcia Leopolda. Jeżeliby istniała możność, albo jakiekolwiek szanse utrzymania się w Hiszpanji, nie sprzeciwiałbym się wtedy nigdy kandydaturze Leopolda, a starałbym się tylko po prostu mieć wpływ w Madrycie większy od niemieckiego. Lecz dumna krew hiszpańska nie znosi króla z obcego narodu. Wzmagające się z dniem każdym trudne położenie Leopolda, doprowadziłoby wkrótce Niemcy, zmuszone go popierać, do wmięszania się, a to ostatnie do rządzenia Hiszpanją.

— W takim razie, proszę Waszej cesarskiej Mości, książę Amadeusz tylko co wybrany?...

— I trzech lat nie pokróluje.

— A zatem Włochy...

— Ani się ruszą, albowiem Włochom niemoc ich służy za wymówkę, czem ani Francja ani Niemcy nie mogą się zasłaniać. Wielkie narody, jak mój i wasz, nie powinny wyrzekać się swych zasad (principes). Dla tego też opierałem się zawsze, ażeby kto z moich przyjmował jaką kandydaturę... A wierzaj mi pan, że propozycji nie brakło.

Nie potrzebujemy przypominać czytelnikowi o ile sąd ten Napoleona III. o Amadeuszu był trafnym.

Dziwiło mocno pana Melsa, że bonapartyści po katastrofie sedańskiej tak dobrze, jak nie zaglądali do Wilhelmsböhe; z początku wprawdzie był ten i ów, ale wkrótce całkiem zaprzestali odwiedzać cesarza. Zdziwienie to swoje udzielił autor cesarzowi i ten go objaśnił, że sam zakazał swoim przyjazdu do Wilhelmshöhe i dla tego nie bywają. Jest to wręcz przeciwne temu, co pisały ówczesne dzienniki, dowodząc, że Napoleon III. został znienawidzony nawet przez swoich niedawnych popleczników. Mels zamierzał wyjaśnić tę kwestję w dziennikach niemieckich, lecz cesarz zabronił mu tego, mówiąc, że ani jeden Niemiec nie pojmie czem jest opozycja francuska.

— U was — rzekł cesarz — opozycja działa przeciw ministerstwu; we Francji zaś, przeciw naczelnikowi państwa i formie rządu. Tak było za Burbonów, za Ludwika Filipa, za cesarstwa, i tak będzie za rzeczypospolitej, i to właśnie stanowi największe nieszczęście Francji.

O Bismarku tak się wyraził:

— Siła jego w tem, że on tylko minister. Nie potrzebuję panu tłumaczyć, jak wielka różnica pomiędzy niepowodzeniem ministra a niepowodzeniem monarchy. Minister któremu się nie powiodło, najspokojniej składa tekę i nie bez przyjemności patrzy nieraz, jak jego następca krząta się niefortunnie około naprawy nadwerężonego gmachu, gdy tymczasem monarcha, zmuszony jest sam naprawiać swe błędy, lub synowi swojemu zostawić ciężkie to zadanie. W skutek tej różnicy, wypływającej z natury ludzkiej, monarcha zawsze będzie mniej skłonnym do stawienia wszystkiego na kartę, aniżeli jego minister, i zawsze będzie uczciwszym i bardziej przewidującym od najlepsze-

go chociażby ministra. Jeżeliby *prezydent* Lincoln został zwyciężony — nie wybranoby go po raz drugi, ot i wszystko.

Ale *król* Lincoln byłby oddany pod sąd historji jako ten, co dla idei swej poświęcił państwo, chociażby idea ta była najwznioślejszą, a oprócz tego straciłby i tron prawdopodobnie!... I jest to jedna z największych korzyści wypływających z rządów monarchicznych. Cesarz lub król, nie może nie pamiętać o tem, że następcą jego będzie syn lub krewny, gdy tymczasem minister lub prezydent widzi w następcy tylko rywala, przeciwnika, a nawet nieraz i nieprzejednanego wroga swojego. Pomimo religji i wszelkich nawet moralności, człowiek na zawsze pozostanie człowiekiem; będzie krew własną zawsze kochał a wroga nienawidził... Wielkie szczęście Bismarka, że jest tylko ministrem. Posiadając zaufanie pana swojego w rozmiarach zaprawdę zdumiewających, może się na wszystko ryzykować, nie obawiając się nigdy niczego... Gdyby wojna z 1866 roku ukończyła się nieszczęśliwie dla Prus, kanclerz wasz dzisiaj jeździłby w Pomeranji na polowanie z chartami na zające i nic mu by nie stało się gorszego!... Dla odpowiedzialności królewskiej niezbędnem jest albo olbrzymi talent dyplomatyczny, albo niesłychane szczęście — wtedy król może się na wszystko puścić!...

Do wypadków 4. września Napoleon przywiązywał wielką wagę; mówił, że ani on, ani Bismark, nie mogli ich przewidzieć. Według zdania cesarza, jeżeliby rzeczpospolita nie została ogłoszoną, wojna skończyłaby się na drugi dzień po Sedanie i to na warunkach stokroć mniej uciążliwych, na jakie Thiers z Favre'm zmuszeni byli przystać. Wolno się nie zgodzić na to zdanie, jak również nie zgadzamy na poprzednie twierdzenie Napoleona III, że wydał wojnę nie powodując się wcale dynastycznemi względami. Bismark nie omieszkałby wyzyskać cesarstwa tak samo, jak wyzyskał opłakany stan świeżo proklamowanej republiki, a co do powyższego twierdzenia, przystając, że względy na przyszłość Francji nie dozwalały na przyjęcie kandydatury ks. Leopolda na tron hiszpański, któż nie pojmie, że nieszczęsny „Badinguet“ rad był z pretekstu do wojny i po szalonemu się w nią rzucił, w nadziei, że pobije Niemców, przyda nowego uroku Napoleonidom i tem raz na zawsze ustali tron dla nich.

W rozmowach swych z panem Melsem, Napoleon III. lubiał wracać i wracał często do kwestji socjalnej, czyli poprostu mówiąc do kwestji pracy, do kwestji robotników.

— Wojna ta — powiadał Napoleon III, — jak zresztą każda wojna, posunie od razu na dziesięć lat naprzód kwestję, która wcześniej czy później, zajmie miejsce niezwykłego znaczenia przed innemi sprawami naszej starej i gęsto zaludnionej części świata. Mam na myśli kwestję socjalną. Bismark, o ile mi się zdaje, nigdy nie zwracał na nią uwagi. Lecz będzie zmuszony zająć się nią. Kto z zasiadających na tronach lub w radach państwowych zajmował się robotnika dolą? Ja jeden tylko! I gdyby mi władza była powróconą, kwestja ta znowu interesowałaby mię najbardziej, albowiem od niej zależy przyszłość. Zrozumie to i kanclerz, ale to już będzie zapóźno — zobaczysz pan — i wtedy tylko można będzie osądzić, czy naprawdę Bismark jest genialnym człowiekiem czy, też tylko zręcznym dyplomatą, któremu szczęście sprzyjało?...

Inną razą tak mówił do pana Melsa:

— Wierzaj mi pan i zapamiętaj moje słowa... Możesz je pan, jeśli chcesz, jutro wydrukować; choćby dla tego, ażeby nie pomylić się co do czasu, w którym mówiliśmy o tem... Wierzaj mi tedy pan: Nie upłynie roku, nie upłynie nawet sześciu miesięcy po skończeniu teraźniejszej wojny, a miljony Francuzów w rozpaczy będą się na wszystkie strony wyglądać, czy nie zanosi się gdzie na przygotowania do nowego przewrotu, któryby powrócił krajowi spokój i porządek! A po upływie jeszcze lat kilku, to już cała Europa wołać będzie, by przyszedł zbawca, którego Francja po kilku miesiącach poczęła szukać. I biada światu, jeśli się nie znajdzie ten zbawca!... Okropne rzeczy dziać się będą we Francji po zawarciu pokoju; pobiją ich wprawdzie, uśmierzą, wszystkich co powstaną, lecz nigdy z korzeniem nie wytępią. Okropności znów się powtórzą, i ciągle powtarzać się będą. Głowy potworów ciągle będą wyrastać; rewolucja pozornie uśmierzona, istnieć będzie ciągle, będzie ciągle gryźć i podkopywać“...

„Nie określił tego cesarz, kto miał być tym upragnionym zbawcą, ale widocznie miał głównie na myśli syna swojego. Omylił się nieco. Przyznać jednak należy, że rewolucja dotąd nie jest jeszcze z korzeniem wyrwaną. Tli ona i nurtuje ciągle.

Wspomniawszy raz o byłym swym ministrze, p. Olivier, Napoleon III. z taką wyjechał ostrą krytyką ludzi pierwszorzędnych, z którą solidaryzować się nie mamy zamiaru: Liberalizm niemiecki nie mógł wybaczyć Olivier'owi, że dla robotnika okazał miłość, prawie równą mojej miłości. Panowie z obozu tego schlebiają robotnikowi, a jednocześnie wyzyskują go i pogardzają w najlepsze, gdy tym czasem ja chciałem z robotnika francuskiego zrobić człowieka najszczęśliwszego w świecie, przyczem Olivier obiecał mi pomagać jak najsilniej. Potomek Montmorancy'ch lub Druyns de Louys, pojąłby być może to moje marzenie, a nawet zgodziłby się pomagać, by stało się rzeczywistością, lecz ci wszyscy Thiersy, Favry i Gambetty, zmuszeni byli sprzeciwiać się temu, bo z uszczęśliwieniem klasy roboczej, cały ten ród deklamatorów (des fraseurs) nie mógłby odegrywać roli, straciłby wszelki walor. Niektórzy z inteligentniejszych prefektów, ostrzegali mnie po wydaniu prawa o strajkach, że całe mieszczaństwo (bourgeoisie), liberalne i nieliberalne skorzysta z pierwszego lepszego pretekstu i wyda wojnę nie tylko mnie lecz i cesarstwu, jako instytucji! Nie chciałem temu dać wiary, i omyliłem się!... Lecz raz jeszcze powtarzam panu: najmniejsza wina nie ciąży na Oliwier'ze za nieszczęścia Francji. Chciał on wojny, nie więcej od mnie, i jeszcze raz powtarzam panu: Bismark wie o tem lepiej jak kto inny.

Z powodu wyboru pana Grévy, teraźniejszego naczelnika rzeczypospolitej, na prezydenta zgromadzenia narodowego w Bordeaux, cesarz tak się wyraził:

— Nie spodziewałem się, ażeby oni taki dobry uczynili wybór. Jest to najpoczciwszy człowiek. Jest w nim coś takiego, czego nigdy nie pojmą panowie Thiers, Favre, Simon i Gambetta. Kłamstwa, niesprawiedliwości nienawidzi i nie znosi. Mało takich, jak on, adwokatów. Gdym się dowiedział, onego czasu, że Grévy został wybrany do ciała prawodawczego, nie zmartwiłem się bynajmniej.

Łatwo pojąć, że o Prusach bardzo często mówił. Podajemy ustęp, w którym najobszerniej wynurzył swoje zapatrywania się na to państwo:

— A wiesz pan, co będzie was kosztować urzeczywistnienie marzenia o zjednoczonych Niemcach? Zapłacicie taką cenę, że uleczy to, jak się spodziewam, raz na zawsze ludzi od upędzania się za olbrzymiemi urojeniami. Zapłacicie za to kompletną ruiną, przyczem, być może, że Prusy całkiem zniknął. Nie będzie ich.

— Tak, tak, mówił dalej, coraz więcej się zapalając. Tak, skończy się to, być może zniknięciem Prus! I zapamiętaj pan dobrze co mówię, będzie to wielkiem dla wszystkich nieszczęściem (preponderencja Moskwy). Prusy są potrzebniejsze dla równowagi europejskiej, niż które bądź inne państwo. Rola ich była do pozazdroszczenia; przeznaczone były do niedopuszczania, ażeby wojny oddzielne zamieniały się w wojny powszechne, a może nawet do tego, ażeby wcale wojen nie było. Mylą się okrutnie w Berlinie, jeśli przypuszczają, że tę samą rolę mogą i Niemcy zjednoczone spełnić. Spodziewam się, że mylą się pomimowolnie; tak, pomimowolnie. Za lat dwadzieścia, trzydzieści, Prusy będą zmuszone stać się państwem zaczepnem i wtedy żadne „hocus pocus“ dyplomatyczne, żadne męztwo ich walecznej armji, nic nie pomogą. Europa, zgniecie je! Wtedy się przekonają, co kosztowało ich urojenie Bismarcka. Dzieciństwa—bytu! Prusy z powodu swej administracji i z wielu innych względów, służyły jako przykład dla reszty państw europejskich; za lat kilka — nie pozostanie nic z tego, nie będzie przykładu!... Ot, patrz pan; jeszcze wojna się nie skończyła, a już *Wirtembergska gazeta* uskarza się na sprusaczenie kraju!... A za lat pięćdziesiąt, dziennikarze w Berlinie będą pisać artykuły ze skargami w sensie odwrotnym... Czyli, mówiąc dokładniej i pisać nawet nie będą, bo nie będzie nikogo z wyjątkiem starców zgrzybiałych, coby pamiętał, iż niegdyś jakieś Prusy istniały!... Lecz znajdą się może historycy, którzy przypomną przyszłym pokoleniom, że po bitwie pod Jena, Napoleon, pomimo że mógł Prusy wymazać z rzędu państw europejskich, zlitował się nad niemi, że na wyspie św. Heleny gorąco polecał Francji sojusz z Prusami, i że nareszcie następca jego wszystko, co mógł, robił w przeciągu lat ośmnastu, byle dopiąć wskazanego celu. Następca ten, może się odwołać do świadectw dwóch waszych królów! Ale Bismarck!...

Po wypowiedzeniu jednym tchem powyższej oracji, powiada pan Mels, cesarz zamilknął, ale za chwilę znów począł mówić:

— Bismarck — to z innej dyplomata szkoły! Pragnąłem ścisłego sojuszu pomiędzy Francją a Prusami, jednocześnie życząc sobie zupełnej niezależności reszty państw niemieckich, któreby nie omieszkały jedno po drugiem przystępować do sojuszu tego. Ale on, innej szkoły dyplomata; on wolał rozdmuchać zapomnianą nieprzyjaźń i rozterki pomiędzy naszymi krajami, by tym sposobem dójść do ujarzmienia reszty państw niemieckich. Idea napoleońska obecnie zwyciężoną jest przez jego ideę, ale historja osądzi, która z tych dwóch ideji była słuszniejszą i bardziej odpowiednią cywilizacji i interesom ludzkości!

Po niejakiej chwili zacytował, jakby sam do siebie mówił w zamyśleniu, następujący wiersz Goethego:

«Nichts ist schwerer zu ertragen,
Als eine Reihe glücklichen Tagen!»

Zapewne miał tutaj na myśli kanclerza niemieckiego, któremu szczęście mogło zawrócić głowę, jak zawróciło niegdyś Napoleonowi I-mu

— Czy według zdania waszej cesarskiej mości, może przyjść do starcia pomiędzy Rosją a Anglją z powodu Konstantynopola? — zapytał następnie pan Mels.

— W starciu podobnem — odparł brwi zmarszczywszy zdetronizowany cesarz — upatruję mniej niebezpieczeństwa dla Europy, a szczególnie dla Francji, aniżeli w anglo-rosyjskim sojuszu, sojuszu, który prawie na pewno przeczuwam, i którego się obawiam. Wierzaj mi pan, czy stanie się to po wojnie, lub bez niej, to wszystko jedno, a Anglja z Rosją zejdą się kiedyś zgodnie w Stambule na niekorzyść Francji, dla której Wschód zostanie wtenczas zamkniętym.

— A od Niemiec — proszę Waszej Cesarskiej Mości, czego się najjaśniejszy pan spodziewa?

— O! — zawołał na to Napoleon III. i twarz jego przybrała wyraz nadzwyczajnej boleści — jestem jak najbardziej przekonany, że państwo Niemieckie okaże się nad wszelki wyraz łaskawem dla republikańskich przewódzców Francji, którzy dadzą się mu za to wodzić w jak najlepsze za nos (à la rémorque)... I pod cieniem tej łaskawości, znaczenie Francji w rzędzie państw europejskich, zniknie na czas pewien!...

Nieboszczyka króla Wiktora Emanuela tak zcharakteryzował:

— Jest to taka mięszanina najrozmaitszych przeciwieństw, jakiej, jak mi się zdaje, nikt dotąd nie widział. Nie jeden w nim człowiek, lecz siedzi ich dwóch, albo i więcej, nie wiadomo jakim sposobem zawartych w jednem i tem samem ciele i wiecznie z sobą walczących. Uczucia i postępki tego człowieka ciągle się kłócą. Jest on naprzykład największym arystokratą, jakiego można znaleść w całej Europie, a pomimo to wtedy tyko czuje się swobodnym, gdy przestaje z ludem, którego się okropnie obawia. Jest to najbardziej mi znany fanatyczny zwolennik włoskiego *far niente*, a całemi miesiącami drapie się po skałach. Gorliwy obrońca świętych praw monarszych, a jednocześnie, nie wahając się ani jednej chwili, zabiera swym krewnym korony przez rewolucję zdarte z ich głów; najpobożniejszy w całych Włoszech katolik, a pomimo to walczy z papieżem... Jest to nareszcie człowiek, co może jak nikt inny, nie pogardza tak duchem czasów w jakich żyjemy, a zarazem, jak nikt inny, umiejący się godzić z wymogami jego!... Lecz właśnie nie kto inny, jak tylko on, o ile sądzić mogę, jak tylko człowiek tak dziwnych kontrastów, odpowiada zdumiewająco szczęśliwie warunkom i interesom, dla służenia, którym był powołany.

Ciekawem jest co mówił o dziennikarstwie. Opowiadał, że pewnego razu Persigny odebrał list od niewiadomej osoby, przedstawiającej *projekt uchylenia wpływów prasy, przy najzupełniejszej jej swobodzie*. Pan Mels prosił cesarza, by zechciał mu wyłuszczyć na czem zależał ten dziwny projekt.

— Najchętniej — odpowiedział cesarz. — Projektant zamierzał znieść różnolitość treści w dziennikach, znajdując, że ona jedynie stanowi niebezpieczeństwo dla rządu. A rozumował on w ten sposób: Wielu ludzi czyta gazetę, tylko z powodu spraw giełdowych, kroniki codziennych wypadków, felietonu i t. d., ten znów inseraty przegląda, a później dopiero rzuca okiem od niechcenia na artykuły wstępne, polityczne i na inne rubryki. Nie upłynie pół roku, a tacy czytelnicy bezwiednie prawie zaczynają podzielać przekonania dziennika, który zaprenumerowali byli pierwotnie bez żadnej myśli politycznej, zupełnie dla czego innego jak dla polityki. Temu to właśnie należy zapobiedz! A w jaki sposób? oto tak: Niech co chcą piszą dzienniki, ale gdy dziennik „nazwie się politycznym, niech daje same tylko rzeczy polityczne, bez kroniki, giełdy, felietonu, inseratów i t. d. Słowem niech pisze o rzeczach tylko ciężko poważnych, samych politycznych, a projektant był pewny, że nie minie i sześciu miesięcy, a dzienniki utracą opozycyjne swe wpływy i moc.

— Nic dziwnego—wtrąciłem—bo zbankrutowałyby wkrótce.

— Zapewne, że tak. Lecz niedorzeczny ten projekt podał mi do głowy inny projekt, który wcześniej czy później koniecznieby doprowadził do skutku i osiągnąłbym za pomocą jego zamierzony rezultat. Oto jak chciałem zrobić — wypowiesz mi pan później swe zdanie. Urzędowy jurydyczny aksiomat opiewa: że nikt nie może się wymawiać praw nieznajomością. Zkąd loiczny wniosek, że każdy bez wyjątku wyborca powinien koniecznie bezpłatnie odbierać *Buletin des lois i Gazette officielle*. Nie dość jest wywieszać na widok publiczny ogłoszenia praw nowych; niezbędną jest rzeczą, ażeby każdy obywatel miał prawa te u siebie w domu, pod ręką, by mógł w każdej chwili w razie potrzeby przeglądać i odczytywać. Powziąłem tedy pomysł, ażeby zrobić z *Gazety oficialnej* dziennik wzorowy, w którym współpracownikami byliby wszyscy najznakomitsi pisarze. Dziennik ten wszyscy wyborcy odbieraliby bezpłatnie. A trzeba było przytem tak zrobić, ażeby każdy najznakomitszy publicysta miał sobie za honor być współpracownikiem takiego pisma. Nauka, literatura, ekonomja polityczna, gawędy rozmaite, dążenia podrastającego pokolenia i t. d., i t. d.— Słowem wszystko, wszystko bez wyjątku powinno było być w nim opracowane piórem najutalentowańszych autorów — a w dodatku, jak najszczegółowsze i jak najprawdziwsze nowiny ze świata całego!... Czyż podobny dziennik nie byłby wspaniałym pomnikiem publicystyki i czyż nie byłoby najczystszym to demokratyzmem dawać ludowi co jest najlepszego, i to dawać darmo?! Co pan na to powiesz?

— Jest to świetny pomysł, najjaśniejszy panie, ale coby było z polemiką wtenczas?

— Tę pozostawiam dziennikom prywatnym i jestem pewny, że straciłyby one wszelkie znaczenie niebawem, bo jużciż każdy wolałby mieć prawdę i piękność za darmo, zamiast płacić za rzecz podejrzanej wartości. Powtarzam, że tylko dziennik oficjalny może i powinien osiągnąć zupełną prawie doskonałość.

— Ale jakich-że wydatków na to potrzeba najjaśniejszy panie; wydatków niesłychanych!

— Czterdzieści lub pięćdziesiąt milionów, a może i mniej jak czterdzieści, a w każdym razie jest to wcale nie drogo w obec rezultatu jaki przewiduję: za lat dziesięć panować nad umysłami wszystkimi i w okresie tym zrobić z Francuzów najinteligentniejszy i najwykształceńszy naród w świecie, naród najbardziej uzdolniony do korzystania z wolności i swobody, i podtrzymywania onych. Cóż pan na to?

— Powiem to tylko, proszę waszej cesarskiej mości, że hrabia Ludwik Pfeil napisał dzieło, w którem słusznie waszą cesarską mość nazwał największym tegoczesnym rewolucjonistą.

Proszę uważać, że w końcu opowiadania o fantastycznym tym swoim projekcie, Napoleon III. nie mówi w czasie przeszłym: „pozostawiałem dziennikom, byłem pewny, przewidywałem rezultat“, ale w czasie teraźniejszym: „Pozostawiam, jestem pewny, przewiduję i t. d.“ Gdy się zapalił, zdawało się mu, że jeszcze panuje, że lada chwila zaproszą go do Paryża z powrotem, i że dalej uszczęśliwiać będzie po swojemu Francuzów. Nic nie ma trudniejszego jak upadłszy, nie łudzić się wyobrażeniami przeszłej wielkości i pogodzić się szczerze z nowem położeniem.

Następnie rozmowa przeszła na Emila Girardin'a, którego cesarz uważał za jedynego publicystę, za pisarza, któremu nikt nie wyrównał co do mocy djalektyki. „On wierzy w to, co mówi, chociaż zmienia przekonania“.

— W Ameryce — powiadał dalej — Girardin możeby został prezydentem, w Anglji ministrem, w Rosji poszedłby na Sybir, lecz w żadnem państwie, tak jak we Francji, nie mógłby spełniać posłannictwa swojego, polegającego na dowiedzeniu z loiką nieprzepartą, że żaden rząd, czy to monarchiczny, czy republikański, nie jest w stanie znosić tak zwanych praw prasy. Wszystkie prawa prasowe na nic się nie zdały; ani moje prawa z roku 1852, ani pobłażania lat następnych, ani późniejsza prawie zupełna swoboda w roku bieżącym (1870). Prasa wymaga radykalnej reformy, jakiej? nie wiem, jestem tylko przekonany, że przyjdzie kiedyś do tej reformy, jak również wiem i to, że nikomu innemu jak tylko Girardin'owi mamy do zawdzięczenia, iż stała się nadal niemożebną forma jej teraźniejsza, na którą od roku 1830 począwszy, spada tak znaczna część odpowiedzialności za nieszczęścia Francji.

Ciekawy był p. Mels dowiedzieć się, jaka to będzie nowa prasa; spytał więc i otrzymał taką odpowiedź:

— To tylko czuję i wiem, że i dla prasy nadejdzie rok 89, i przewiduję, że i tutaj także odegra ważną rolę *powszechne głosowanie*.

„Chociażem nie dobrze pojął, co cesarz chciał przez to powiedzieć, pisze p. Mels, lecz zamilkłem i nie śmiałem dopytywać się więcej. Później nieraz próbowałem zwrócić na ten przedmiot rozmowę, ale niczegom się więcej nie dowiedział. Pewnego razu tak rzekł krótko do mnie“:

— Należy się przedewszystkiem starać, ażeby dziennikarstwo przestało być „geszeftem“! Dziennikarz powinien stać się pełnomocnikiem narodu — piszącym delegatem narodu. Tym sposobem dziennikarz stałby się *trzecią Izbą*, upoważnioną trzecią Izbą

Nie zapomniał też o Rosji w rozmowach swych cesarz. Przytaczamy następujące, bardzo trafne zdanie o emancypacji chłopów przez cara Aleksandra:

— Wspaniałość umysłu Aleksandra II. stała się powodem wielkiego błędu, za który Rosja srogo odpokutuje. Mówiłem zaraz księciu Orłowu, gdy mi zakomunikował o zupełnem usamowoleniu chłopów: Za lat dwadzieścia powstanie u was pokolenie ludzi nienależących do ża-

dnego stanu — w części z wyzwolonych mużyków, a w części z byłych obywateli, którzy przetrwoniwszy pieniądze, dane im jako wynagrodzenie za zniesione poddaństwo, poczną zawiązywać konspiracje i podburzać do buntu młodzież i niezadowolonych. W jakim celu będą konspirować? — mniejsza o to! Dość, że będą konspirować, szczególnie młodzież, ot tak, z konieczności porewolucjonizowania. Dla zapewnienia spokoju na przyszłość, należało obiecać wolność tylko dla tych, co się narodzą po ogłoszeniu ukazu o usamowolenia, a żyjącym dawać ostrożnie, pojedyńczo, jako wynagrodzenie za pewne zasługi lub rozsądne postępowanie.

Nie ulega wątpliwości, że gwałtowne przejście z poddaństwa do wolności, nadanej wyłącznie chłopom, nie tylko sprawiło chaos i podkopało ekonomiczny byt państwa, lecz ubożąc szlachtę, popchnęło jej mnóstwo do protestacji, a następnie rewolucyjnego obozu.

Pan Mels i do Chislehursta jeździł. Napoleon III. i tam wierzył w gwiazdę, co przyświecała Pierwszemu i w jedyną formę rządu, który zdolen jest Francję ocalić, t. j. w demokratyczne cesarstwo.

Zawiódł się tu jeszcze bardziej, jak w innych swych marzeniach. Nie przeczuwał co ma spotkać syna. Rochefort, puszczając w świat nowe wydanie swojej *Lantérne*, nazywa Napoleona III. Napoleonem ostatnim: *„Napoléon dernier»*. I zapewne tak będzie, chociaż z drugiej strony i to nie da się kategorycznie zaprzeczyć, że przy pewnych okolicznościach, bonapartyzm będzie mógł znów wichrzyć i dużo jeszcze kłopotów przysporzyć ojczyźnie.

WSPOMNIENIA LEKARZA

z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(Dokończenie).

IX.

Utarczki o lekarski budżet. Los kolegów. Fatalna Syra. Pożegnanie. Cerberus. W Wiedniu.

Dwa wyrazy, mianowicie *jok* (nie) i *jawasz* (powoli) charakteryzują usposobienie Turka. Czy żądać co od niego, czy żalić lub skarzyć się, nie wdaje się w długie rozprawy, lecz odpowiada jedno lub drugie. Jest dlatego powolny bez granic i uczy innych cierpliwości. Sam pociesza się frazesem, *jawasz, jawasz eji olaczak* (powoli, powoli będzie lepiej). Wiadomo, o ile to *jawasz* zgubnem było w operacjach rzeczonej wojny.

Moc owych słów rozciągała się na wypłatę budżetu lekarzom. Trudności wzrastały z każdym miesiącem, a z niemi zaległości finansowe w parze. Sytuacja najbardziej była krytyczną, gdy z jednej strony Moskal rozłożył się obozem u stóp stolicy i groził zaborem, a z drugiej Turek zbywał wszystkich lepszą przyszłości nadzieją, która wcale pogodnie nie wyglądała z po za obłoków czarnej burzy, zwłaszcza skoroby nieprzyjaciel zabrał stambulską kasę i postąpił sobie z nami podobnie, jak z niektórymi w niewolę zabranymi kolegami. Z każdym dniem zwiększała się liczba lekarzy, którzy dopominali się pieniędzy, wróciwszy z głębi państwa tureckiego, wypędzeni przez Moskali. Wielkie groziło niebezpieczeństwo, a przesilenie dosięgło szczytu. Nie pomagały przedstawienia treści bezogródkowej baszów, iż zagrożony sułtan wraz z dworem i ministrami umknie z kasą do Brussy, obronnego miasta w Małej Azji, i że każdy na nieograniczony czas zostanie wystawiony na opiekę srogiego losu. Rozdrażnienie umysłów przebrało granice cierpliwości, gdy zawierający z nami układy w Wiedniu, Stephan basza publicznie oświadczył, że lekarze mogą iść sobie gdzie chcą i działać co uznają za dobre, ponieważ nastał powszechny nierząd i chwila przesilenia, a w kasie *para jok* (same pustki); w końcu wskazał drogę ambasad dotyczących państw, jako jedyny środek załatwienia nieporozumień między rządem a lekarzami. Byłby to ostatni krok, niedający zresztą pewnej rękojmji. Nie pozostało tedy nic, jak udać się do ówczesnego seraskiera. Rauf basza, minister wojny, oznajmił swoje zdziwienie, gdyż wedle niego pieniędzy miało być dość, i zapewnił zgromadzonych, iż w czterdziestu ośmiu godzinach załatwi sprawę. Tak się też stało, lecz wpierw urzędnicy kasy zostali wezwani na posłuchanie. Dlaczego kasjerzy nie chcieli płacić, nie wiadomo, bo faktem było, iż worki z *meczidjami* leżały na składzie, strzeżonym przez żołnierzy z najeżonymi bagnetami. Podejrzywano urzędników o zmowę z bankierami Gałaty w spekulacyjnych celach.

Co sie tyczy losu reszty lekarzy, był on przeróżny. Jedni z obawy, iż wpadną w niewolę, pouciekali, potracili rzeczy i przyszli po dłuższem tułactwie o własnych siłach do Stambułu. Jeńcom różnie się powodziło. Jednych Moskale przyjęli uprzejmie i udzielili im na podróż do Konstantynopola, na ustne lub pisemne żądanie, po kilka sztuk imperjałów — innych zostawili po prostu na opatrzność losu. Ci musieli sami dbać o siebie, by nie zginąć w drodze.

Powoli ściągali się lekarze ze wszech stron teatru wojny do stolicy. Dopytywałem się o moich kolegów i współtowarzyszy podróży, lecz nie mogłem się dowiedzieć nic pewnego. Mijały miesiące, tygodnie, aż zastałem dnia jednego obydwóch wyczekujących mego przybycia w niemieckiej restauracji. Serdeczne było powitanie po tak długiem niewidzeniu. Ucieszyliśmy się, widząc się żywymi. Obydwaj opowiadali mi swoje przygody. W Konstantynopolu ukradł im dragoman sumę kilkuset piastrów i przepadł jak kamień w wodę.

Po zaopatrzeniu się w kołdry i przybory potrzebne w obozie, wybrali się w drogę. Dostawszy się do Orchanie, byli przydzieleni to do szpitalu, to do taboru, a zostając ustawicznie w ucieczce przed wrogiem, nie mogli należycie rozwinąć swych czynności. W Sofji nikt nie dbał o nich. Tam prowadzili sami kuchnię obozową i raz jeden, raz drugi chodził z żołnierzem do miasta po zakupno artykułów żywności.

Turcy mieli zwyczaj, że gdy uciekali, nie dawali znać swoim o ucieczce, tylko zwijali namioty, co miało być hasłem cofania się. Jednego dnia poszedł dr. H. na odwiedziny Sofji — nie panny. Z powrotem nie zastał już taboru i nie wiedział dokąd się udać. Obóz był pusty. Gdy odszukał nareszcie swoich zapomocą służącego, dowiedział się, że komendant, z którym żył w niezgodzie, chciał uważać jego nieobecność jako dezercję z pod chorągwi wojennych. Wyrodziły się nieporozumienia, które nie pociągnęły zresztą za sobą żadnych nieprzyjemności.

Chirurg W. postradał nieco z dobrej tuszy, skutkiem cierpienia na nieżyt kiszkowy. W końcu dostali się w niewolę, z której ich puszczono po niejakim czasie, a gdy nie mieli o czem wracać, ofiarowano im po kilkanaście imperjałów. W stolicy chciała ich *Dari Szura* wysłać do Larissy w Grecji, lecz zażywszy do syta wojennych przysmaków, odjechali po odebraniu gaży, do kraju. Ja jeszcze zostałem na usługi półksiężyca.

Listownie dowiedziałem się, że niemiła przygoda spotkała dra H. z powrotem na greckiej wyspie Syra. Przy zakupnie sławnego tytoniu eskamotował mu rzezimieszek sakiewkę pełną złota, nabytego w pocie czoła, a że często jeden kłopot rodzi drugi, więc w Tryjeście musiał jeszcze za ten tytuń syracki opłacić znaczną karę pieniężną, jako za kontrabandę.

Wielu lekarzy już nie powróciło do rodzinnych stron. Padli oni ofiarą trudnego zawodu. W szpitalu Maltepe zmarło dwóch na dysenterję: jeden aptekarz z Belgji, przystojny blondyn, w kwiecie wieku, a drugi chirurg z Austrji, człowiek już starszy, który wrócił z Batum chory na zimną febrę i tutaj zginął. W Azji zabija ta epidemja tak wojsko jak i lekarzy. W Erzerum samem wszyscy lekarze wymarli na tyfus, prócz dwóch Anglików. Erzerum było postrachem dla lekarzy europejskich. Jeden Prusak, jak zbiegł skrycie z pod chorągwi, tak zatrzymał się dopiero u krańców Portugalji. O tem już wspominałem, że prawie każdy był słaby. Z kolegów lekarzy, związanych kontraktem, zginęła czwarta część. Spokój ich popiołom!

Stał się jednak, wprawdzie nie „cud", lecz godny wspomnienia fakt, iż węgierski kolega, Benjaminek, przyjechał jedyny, a wrócił w trójcy. Los rzucił go do Sofji. Tutaj ujrzał twarzyczkę w bulgarskim domu, która nie była gęstemi kratami na wzór turecki oddzielona od ludzi. Złośliwy amorek strzałą go jeżeli nie zranił, to co najmniej zadrasnął. Skutek był nadspodziewany. Benjaminek uczuł, że mu czegoś nie dostaje i rozmarzył się; a kiedy rozpływał się w miłości u stóp swej bogdanki, wpada — jak mówią, z namowy Junony — rozżalony Jowisz, ojciec jedynaczki, wywala drzwi przemocą i kieruje na czułą grupę, zamiast grzmotów i błyskawic, nowoczesny pistolet z odwiedzionym kurkiem. Bohater — ani on ani ja nie umiem powiedzieć — czy z tchórzostwa, bo strach ma wielkie oczy, czy z przywiązania, poślubił jeszcze tego samego tygodnia Bułgarkę. Pod jej eskortą pomaszerował do Plewny, zkąd Osman basza kazał mu się wynieść z żoną, gdy miał przedsięwziąść ostateczny napad na Moskali, opasujących go żelaznym łańcuchem, i zwyciężyć lub zginąć. Tym sposobem zawdzięczał kobiecie swą wolność, ale za to wrócił spętany niewolą i dwojgiem dzieci.

Mój oddział w szpitalu stawał się z każdym dniem szczuplejszym. Wychodziło stosunkowo więcej rekonwalescentów, niżli wstępywało słabych. Liczę, iż przez ten czas nie jeden ich tysiąc przeszedł przez moje ręce. W końcu nadszedł czas, w którym pożegnałem kolegów tureckich, emigrantów, znajomych i Lizię, która noc ostatnią bezsennie spędziła. Puściłem się na morze i obejrzałem się po raz ostatni: żegnam cię

kraju! oby cię niedźwiedź północy nie rozszarpał pazurami swymi.

Żegluga z powrotem nie była tak wesoła. Z kolegów nie miałem nikogo, prócz doktora okrętowego. Znaczna cześć już dawniej poodjeżdżała. Nadto nabyłem w ostatnich dniach w Konstantynopolu, wskutek jedzenia lodów, silnego kataru żołądkowego, do którego przyplątała się żółtaczka na okręcie. Przez ośm dni na morzu zachowałem absolutnie djetę. W przystani, znużony długą podróżą, napróżno pragnąłem lądu. Przeszkodą był zakaz wydalenia się, bez poprzednich oględzin lekarza. Trudno było wziąść go za kołnierz i gwałtem przyprowadzić, by już raz orzekł, iż okręt i pasażerowie, jako zdrowi, są wolni od kwarantany. Tymczasem rewizory, jak szarańcza, rzucili się na kufry, szukając zakazanych tytuniowych liści, które zdradzały się swą wonią. Po długiej chwili, wydającej się godzinami, przyjechał siwobrody eskulap na łódce. Na średniej części okrętu ugrupowano, a raczej zduszono nas w kształcie podkowy i policzono jak trzodę dla zbadania, czy ilość zgadzała się z podaną listą odpowiednich ambasad. Każdy defilolował gęsiego przed głaszczącym brodę Cerberem i wracał po wschodach do wolności.

W Tryjeście po raz pierwszy usłyszałem austryjacką kapelę wojskową. Czułem się już na bezpieczniejszej ziemi. Kolejowi pasażerowie, widząc mnie w fezie, a do tego tak opalonego, iż żółtaczka nawet przebić się nie mogła przez opaleniznę, uznawali, iż to niezwykły podróżnik w wagonie i uwzięli się męczyć mnie pytaniami. Nareszcie pospieszny pociąg zatrzymał się, a konduktor krzyknął: „Wiedeń, wysiadać". Z radości, żem szczęśliwie przebył kampanję i że teraz powitam moich znajomych, byłbym wycałował wszystkie Wiedenki, które mi się nawinęły; lecz spłoszyłyby się moim fezem i hanczarami, w mniemaniu, że to pewnie Chadżi Loja przyszedł Wiedeń oblegać, gdyż było to właśnie w czasie okupacji Bośnji. Po zdobyciu fiakra, dałem się zawieść do hotelu. Znajomi koledzy przechodzili koło mnie i nie poznawali, mimo iż oglądali się, mianowicie na mój fez. Ponieważ w fezie przyjechałem, koniecznem było, pojechać do aptekarzowej, gdzie miałem moje rzeczy i kapelusz. Zastałem całą rodzinę przy wieczerzy w ogrodzie. Córki domu — a było ich trzy — przeraziły się i krzyknęły, myśląc, że mój duch się objawił, gdyż dawno uważano mnie za straconego. Uciecha była niezmierna. Był to pierwszy miły wieczór w Europie. Do kapelusza nie mogłem się przyzwyczaić. Brzegi raziły mnie niezmiernie. Zdawało mi się, iż mam miskę na głowie i że każdy patrzeć się na nią będzie. Przez cały czas kampanji nosiłem tureckie okrycie głowy, ztąd taka potem siła nawyknienia.

W Wiedniu, miejscu gdzie się kształciłem, postanowiłem odpocząć sobie po laurach wojennych. Mieszkańcy starej Hellady uważali wyprawę wojenną i miłość niewiasty za dwie przyjemności życia. Ponieważ ostatnia jest dla mnie *terra incognita,* poświadczam tylko pierwszą, że jest nią w istocie, jeżeli całym się wróci.

Na Praterze spotkałem Mehmeta Ali baszę, bawiącego w Wiedniu po powrocie z kongresu berlińskiego. Wśród innych okoliczności poznaliśmy się, a wśród innych teraz spotkali. Dziś pisząc moje wspomnienia, zaznaczam, że już nie żyje. Obeszła mnie mocno wieść o jego zamordowaniu. Nie spodziewał się, gdyśmy spacerowali w ogrodach i oskarżali gospodarstwo tureckie, że policzone są dni jego żywota.

Tak to odbyłem wielką szkołę doświadczenia. Jedenaście miesięcy spędziłem wśród pracy, niewywczasów, strachu, grozy i klęsk wojennych. Byłem świadkiem poniewierania sercem, litością, uczuciem, ojczyzną i wiarą. Widziałem sceny i obrazy, słyszałem rzeczy takie, że nie pojmuję, jak oczy i uszy moje przenieść to mogły. Dziś wróciwszy z sercem pełnem pamiątek, spoglądam spokojnie w przeszłość, zadowolony, żem nie szczędził trudu i zdrowia dla cierpiącej ludzkości.

KONIEC.

LISTY Z CZECH.

VIII.

W ostatnich tygodniach obchodzoną była w Czechach siedmdziesięcioletnia rocznica urodzin męża, który od lat pięćdziesięciu pozostaje w służbie piśmiennictwa czeskiego, a należy do liczby tych kilku pisarzy, którzy w młodości swej zasłynąwszy przy boku Jungmana na polu literatury narodowej, aż do tej chwili, wraz z nami wiernie służą i pracują na piśmienniczej niwie.

Mężem tym jest książę *Franciszek Doucha.* Nie wydawał on wiele dzieł oryginalnych, a jednak imię jego głośnem jest w całym kraju, na równi z imionami najznakomitszych pisarzy. Przyczyną tego jest niezwyczajna, niewymowna gotowość jego pisywania do wszystkich czasopism, od lat pięćdziesięciu wychodzących, z których nie jedno już znikło. Dziś również nie ma ani jednego czeskiego czasopisma, któreby nie drukowało jakiego utworu *Doucha.* Tak twórczą jest literacka działalność tego „męża pracy." Na pierwszem miejscu położyć należy jego zasługi około układania słowników czeskich, jakoteż przekłady klasycznych dzieł obcych. W tem jest on mistrzem. Każdy kto tylko układa słownik, nie może się już dziś obejść bez pomocy *Doucha.* Z tej strony swego pisarskjego usposobienia, *Doucha* jest niewyczerpaną skarbnicą. Jest on prócz tego doskonałym znawcą czeszczyzny. Jako znakomity tłómacz dzieł poetyckich, okazał się *Doucha* już w roku 1842, przełożywszy dzieła Thomsona, które wyjdą w nowem wydaniu „Poezyj światowych."

Wielką sobie także zdobył sławę przekładem dziewięciu dramatów Szekspira; a mianowicie mamy w tłumaczeniu czeskiem następujące, pióra *Doucha:* Romeo i Julja; Ryszard III; Korjolan; Juliusz Cezar; Ryszard II; Król Jan; Sen nocy letniej; Wieczór trzech króli i Dwaj panowie z Werony.

Repertoar dramatyczny zbogacił *Doucha* przekładami Kleista i Wiktora Hugo: Ruy Blasa.

Znajomości *Doucha* lingwistyczne są godne podziwu. dał on nam tłomaczenia poetyckie, z *czternastu* języków europejskich, a mianowicie: z polskiego (Mickiewicz) z rosyjskiego, słowiańskiego, chorwackiego, górnołużyckiego, dolnołużyckiego, angielskiego, włoskiego (Dante), hiszpańskiego, portugalskiego, francuskiego, szwedzkiego, niemieckiego i łacińskiego.

A i oryginalne poezje *Doucha* mają wysoką wartość. Co do rodzaju, są one: humorystyczne (wiersz o damach), satyryczne, epiczne, dydaktyczne i liryczne. Wielkie także zasługi położył *Doucha* około pism dla dorosłej młodzieży i wielka ilość utworów tego rodzaju, wierszem i prozą wyszła z pod jego pióra. Również jest *Doucha* znakomitym bibljografem, a jego katalog książek z r. 1866 jest niezmiernie ważny dla naszej historji literatury. W ostatnich czasach pisze pamiętnik, którego ukazanie się oczekiwane jest z najwyższą ciekawością.

Działalność piśmienniczą *Doucha* uznaje cały naród czeski i z okazji siedmdziesiątej rocznicy urodzin, życzy mu, ażemy jeszcze długo wzbogacał literaturę naszą płodami wielkiego swego ducha. »*Mnogaja ljeta*« temu mężowi pracy wielce zasłużonemu. Na pamiątkę tych to urodzin *Doucha*, czasopisma nasze podały jego życiorysy i artykuły o jego działalności literackiej; między innemi: dziennik „Osveta" podał życiorys pióra Ferdynanda Szultza, „Kvety" O. Mokrego, a „Svetozor" pióra J. Biłego.

— Czeskie miasto Czeslaw, że było świadkiem życia i działalności największej naszej narodowej dumy: Jana Żyżki z Trocnowa, i gdy nadto posiada ono jego grób, — obchodziło w dniu 29. sierpnia uroczystość odsłonięcia pomnika wdzięczności i sławy naszemu wielkiemu bohaterowi. Uroczystość Czeslawska, stała się manifestacją narodową, gdy na ten dzień ściągnęły tysiące czcicieli Żyżki, ze wszystkich okolic kraju i z Morawy do Czeslawia które przybrało się w szaty świąteczne. Już dnia 28. ścisk był niezwyczajny, gdy goście zjeżdżać się zaczęli. Wieczorem o godzinie 7. uroczystość zagajoną została przedstawieniem teatralnem, w którem wzięła udział sławna artystka tragiczna Sklevażowa - Mala. Po przedstawieniu nastąpiła zabawa w pięknych miejscowościach „Ctenarskiej besedy." Na drugi dzień zapanował w mieście ruch wielki, a poczet uczestników co chwila wzrastał. O godzinie 11. ruszył wspaniały pochód na rynek. Na czele jechało stowarzyszenie „Sokoła" konno, za którem postępowały długie rzędy chorągwi. Wiele osób było w dawnych czeskich narodowych strojach, dalej mnóstwo stowarzyszeń, korporacyj i t. d. Na rynku pochód się zatrzymał i był powitany przez burmistrza, przed pomnikiem Żyżki. Wtedy przemówił Dr. Jaromir Czelakowski. Mowa jego prawdziwie piękna wzbudziła wielki zapał, a grzmiące „Sława Żyżce!"— odezwało się w całem zgromadzeniu. Po odsłonięciu pomnika odspiewali śpiewacy rozmaitych towarzystw pochwalną, uroczystą kantatę. Następnie odbyła się wspaniała biesiada, a wieczorem znowu uroczyste przedstawienie w teatrze. Na uroczystość nadeszło 215 telegramów. Uroczystością tą dowiedli synowie Czech, że przeniknięci są duchem wolności, której przykład dał im nieśmiertelny bohater Trocnowski. Dumni jesteśmy żeśmy dochowali aż dotąd narodowość i swobodę myśli, dumni jesteśmy żeśmy narodem, którego syn był męczennikiem za oświatę. Świadomi jesteśmy sławnych czynów naszych przodków i nie zwichnie złość nieprzyjaciół zamiarów naszych.

— „Narodne listy" podawały w ostatnich czasach zajmujące fejletony Edwarda Jelinka o Krakowie, Poznaniu i Muzeum techniczno-przemysłowem w Krakowie. Michała Bałuckiego romans „Góral na dolinach" przełożony jest na język czeski, a powieść „Za winy niepopełnione" wychodzi w bibliotece powszechnej (Svetowej), w Młodym Bolesławiu.

Ar. Sch. Polabsky.

CYGARO.

Kiedy cygaro zapalę,
Wnet raźniej płyną marzenia;
Płyną, niby dymu fale
Które powiew ciągle zmienia.

I jasna snuje się przędza;
Lecz ledwie serce oplecie,
Wiatr ją przeciwny rozpędza
I w nieznanym gubi świecie.

Jeśli mię los czasem raczy
Bolesną doświadczyć karą —
Zamiast wybuchać w rozpaczy,
Spokojnie palę cygaro.

Bo wszystko jest w ręku Boga:
Zmienne są losu koleje,
A więc i boleść, choć sroga,
Tak, jak ten dym się rozwieje.

W końcu przestanie zawiśnie
Los znęcać się nad ofiarą,
I w proch się ciało rozpryśnie,
Tak, jak to moje cygaro.

Cóż pozostanie z żywota?
Oto nad prochami ciała —
Serc kochających tęsknota,
Lub, jak ten dym marna chwała.

Stanisław Rossowski.

„À QUATRES MAINS"

I.

Na cztery ręce-śmy grali
Jakieś przecudne sonaty;
Dźwięki płynęły, jak wietrzyk,
Gdy rankiem pozdrawia kwiaty.

Dźwięki płynęły tak lubo,
W pokoju byliśmy sami —
Wkrótce rąk granie ucichło
I graliśmy spojrzeniami.

Była-ż to piękna muzyka!
Choć tylko dla nas słyszana —
O! ona milej dźwięczała
Niż wietrzyk wśród kwiatów z rana.

Lecz wkrótce inne znów granie,
Wszczęliśmy wespół tem milej:
Dłoń moja jej dłoń tuliła —
I tak my sobie gwarzyli.

O czem? — to chyba sam Bóg wie —
Rozmowa była dość pusta —
Pierś jej na piersi mej czułem,
Na moich ustach jej usta.

Zaiste niczem jest wietrzyk
Gdy kwiaty pozdrawia rano,
W obec tej cudnej harmonji
Ciągłego «dolce» i «piano»...

II.

Wtem nagle wśród dźwięcznej ciszy,
Rozkosznej a tak głębokiej,
Doszedł nas szelest z daleka.
Jej matki były to kroki.

Szykbo więc wzięliśmy znowu
Na cztery ręce sonaty —
Dźwięki płynęły, jak wietrzyk,
Gdy rankiem pozdrawia kwiaty.

Lecz choć zważaliśmy na takt,
Matka groźnemi oczyma
Mierząc swą córkę strwożoną,
Wyrzekła, że taktu niema.

Stanisław Rossowski.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

(Jakim sposobem p. Stanisław Wołodecki porzucił karjerę pedagogiczną i publicystyczną, a rozpoczął inną — a jakim znowu sposobem dr. Mitręga także porzucił wszystkie swoje dotychczasowe karjery, a żadnej nowej nie rozpoczął.)

Swiat mało wiedział o szczegółach zmiany, jaka zaszła w wydawnictwie *Orędowniczki*, głównie zapewne z tego powodu, iż obeszło się przy niej bez udziału płci pięknej, a nawet bez jej obecności. Tym to sposobem dzieje się często o krok od uszu opinji publicznej wiele rzeczy bardzo dla niej zajmujących i pełnych dramatycznego efektu, o których ona nic nie wie z powodu, iż brali w nich udział sami tylko mężczyźni. W tym wypadku pomieniona opinja zmuszoną była kontentować się tem, że dr. Mitręga powiedział od niechcenia kilku znajomym, iż zerwał wszelkie stosunki z hr. Skirgiełłą, a sam zamierza utworzyć nowe wielkie stronnictwo demokratyczno-opozycyjne, z dziennikiem zupełnie niezawisłym i prowadzonym w tak wielkich rozmiarach, że każdy będzie mógł trzy razy na dzień badać tętno opozycyjno-demokratyczne w Milicji i Landwerji. Nie należy ztąd wnosić, jakoby dr. Mitręga miał tem samem zamiar zerwać wszystkie swoje stosunki z arystokracją, wszak widzimy np. że w Anglii trzej najbogatsi panowie i naczelnicy najstarszych rodów, książęta Bedford, Devonshire i Westminster, są filarami partji liberalnej. Dr. Mitręga mógł być demokratą z przekonania — z rodu zaś i z nawyknień musiał i nadal zostać arystokratą.

Sprawiedliwość nakazuje uznać, że z każdym dniem trudniej mu było utrzymać się w tym ostatnim charakterze. Nadmieniłem już, że państwo Mitręgowie prowadzili dom na wielką stosunkowo stopę, tak, że suma 26.000 idealników, ocalona z kupna kluczów: Jałowickiego i Zrębowskiego, wystarczyła zaledwie przez jeden rok na utrzymanie świetności, zwłaszcza gdy dr. Mitręga zmuszonym był do odbywania coraz częstszych podróży za granicę, w nadziei, iż uda mu się zaciągnąć ową wielką pożyczkę na Zrębów, o której marzył, albo też utworzyć jakie towarzystwo akcyjne, któreby kupilo ten majątek, podejrzany o zawieranie wielkich pokładów burowęgla. Byłoby to bardzo naturalnem, tj. godnem znanej przezorności matki przyrody, która wydając stworzenia niszczące lasy, powinna była ukryć pod ziemią materjał opałowy, ażeby następne pokolenia nie wymarzły. Cudzoziemcy atoli nie chcieli uledz tak logicznemu rozumowaniu i usilowania dr. Mitręgi pozostały bezskutecznemi. Tymczasem jego zapas gotówki wyczerpał się do dna, a na drzwiach sądu ziemskiego pojawiły się ogłoszenia, że na zaspokojenie takich a takich długów z procentami, kosztami itp. sprzedane będą na publicznej licytacji dobra Jałowice i Zrębów, z tym uspokajającym dla nabywców dodatkiem, że w razie, gdyby nikt nie ofiarował ceny »wywołania», to na następnym terminie będzie mógł nabyć jeden i drugi majątek także i poniżej tej ceny. Ogłoszenia tego rodzaju pojawiają się w Milicji bardzo często i stanowią, mojem zdaniem, jeden z najbardziej podziwienia godnych szczegółów tamtejszej praktyki sądowej.

Położenie dr. Mitręgi było rozpaczliwe: zaciągnął już był kilka tysięcy idealników takiego długu, jaki był spłacił przy pierwszym wyjeździe swoim z żoną na karnawał do Krachenburga. Ogłoszenia, o których mowa, zredukowały jego kredyt do zera, a jeżeliby nie zdołał zapobiedz wczas przymusowej sprzedaży swoich majątków, było widocznem, iż pójdą w obce ręce za sumę, do której były odłużone. Potrzeba było czemprędzej raz jeszcze jechać do Krachenburga, a tymczasem nie było pieniędzy na drogę. Dr. Mitręga zażądał od Rady zarządzającej Banku Filodemicznego zaliczki na swoją pensję, jako dyrektor. Przeciw temu wystąpił na posiedzeniu p. Bandura, który miał szczególny talent do drobiazgowych szykan rachunkowych, dowodząc z ksiąg, że p. dyrektor wybrał już dawno wszystko, co mu się należało, tytułem pensji, tantiemy itd. i że oprócz tego był do pewnej wysokości dłużnikiem banku, z powodu niezapłaconych od półtora roku rat pożyczki, zaciągniętej na hipotekę dóbr Wielkie i Małe Znikło, z przyległościami. Wszczęła się ztąd dyskusja długa i nieprzyjemna, w której jedni podnosili wielkie zasługi dr. Mitręgi około dobra całej instytucji, drudzy zaś wyrzucali mu, iż zbyt wiele naliczył kosztów na niepotrzebne podróże, i wykazy-

wali, że stan finansowy banku jest nader opłakany. Skończyło się kompromisem między jedną partją a drugą, uchwalono bowiem, w uznaniu nadzwyczajnych zasług dr. Mitręgi, odpisać mu w księgach zaległe a nieuiszczone raty, tytułem nadzwyczajnej remuneracji, ale gotówką nie dano ani grosza.

Było to teoretyczne dobrodziejstwo, tembardziej pozbawione wszelkiej praktycznej wartości, gdy dr. Mitręga w gruncie rzeczy nie miał najmniejszego zamiaru spłacania pożyczki, zaciągniętej na Wielkie i Małe Znikło z przyległościami. Wracał tedy szanowny dyrektor do domu w jak najgorszym humorze, i w zupełnej niewiadomości, zkąd wziąć kilkaset idealników, potrzebnych na podróż do Krachenburga i na utrzymanie domu. Po drodze spotkał go jeden z ajentów Banku Filodemicznego z prowincji, który przed chwilą przybył był do Wilkowa. Ten dowiedział się, ku wielkiemu swojemu zmartwieniu, od p. dyrektora, że biura banku na dziś są już zamknięte. Miał on oprócz ajencji Filodemicznej różne inne zajęcia, które wymagały nieodzownie, ażeby nazajutrz rano, o świcie, opuścił Wilków — obecnie zaś widział się zmuszonym, przedłużyć swój pobyt o dzień cały.

— Chybaby pan dyrektor — dodał nieśmiało — raczył załatwić ze mną *brevi manu* te interesa...

— A jakież to są interesa?

— Mam oddać do kasy niektóre raty, i przedłożyć dyrekcji wykaz zalegających dłużników, których niestety mamy bardzo wielu; nierównie więcej, niż płacących.

— Hm, mogę panu wydać kwit prowizoryczny i odebrać pieniądze i wykaz.

— Jeżeli łaska p. dyrektora dobrodzieja!

— I owszem; choć pan ze mną do banku.

Dr. Mitręga kazał woźnemu otworzyć biuro i zapalić światło. Wyjął z szafy jedną i drugą wielką księgę, wpisał w nią, co mu dyktował ajent, a następnie, znalazłszy w szufladzie blankiet z podpisem p. Kluszczyńskiego, jako prezesa banku, wydał ajentowi nie prowizoryczny, ale formalny kwit na sumę 480 idealników, starannie i szczegółowo rozgatunkowaną podług nazwisk różnych punktualnych dłużników. Ajent oddalił się uszczęśliwiony, a dr. Mitręga oddalił się także, zabrawszy z sobą pieniądze, których nie mógł oddać do kasy, z powodu, iż była zamknięta.

Nazajutrz dr. Mitręga wziął urlop od prezesa, a teścia swojego, pozamykał szafy, w których znajdowały się księgi, poruczone jego opiece, i w południe odjechał do Krachenburga, zapomniawszy w roztargnieniu i w pospiechu, oddać do kasy pieniądze odebrane od ajenta i polecić buchhalterowi, ażeby w swoich księgach wypisał te nowe pozycje. Polecił tylko swemu zastępcy, ażeby podczas jego nieobecności prowadził wykazy prowizorycznie, w osobnym seksternie.

I ta podróż niestety, nie była uwieńczoną skutkiem. Banki nie chciały ani dać nowej pożyczki, ani cofnąć licytacji. Ostatnią kotwicą ratunku było zaciągnięcie jakiej takiej pożyczki w Banku Filodemicznym, na zapłacenie rat należnych innym zakładom. Powiadam, że było to ostatnią kotwicą — ale nie dla tego nią było, by dr. Mitręga teraz dopiero pomyślał o własnym swoim Zakładzie. Próbował on już poprzednio przeprowadzić z nim operację, ale na uzyskanie sumy 150 tysięcy, jakiej pragnął, potrzeba było zaciągnąć dług w wysokości ćwierć miljona, a kwota ta wydała się pp. Ablowi, Bandurze itd. tak przerażającą, iż ani słyszeć nie chcieli o podobnym interesie. Zresztą pisma publiczne zwróciły były od pewnego czasu szczególną uwagę na działalność Banku Filodemicznego, i przedstawiały ją w tak rażącem świetle, że członkowie zarządu stali się szczególnie bojaźliwymi.

Działalność ta dała się streścić w następujących cyfrach: Bank Filodemiczny puścił był w obieg pół miliona idealników w obligach, za które, po odtrąceniu strat na giełdzie i prowizji pośredników, wpłynęło 350.000 idealników gotówką do kasy. Z sumy tej wypłacono w pierwszym roku 50 tysięcy, a w trzeciem półroczu 15 tysięcy właścicielom obligów tytułem dywidendy i superdywidendy. Stotysięcy rozdzieliła Rada zarządzająca między swoich członków jako tantiemę zysku. Około 15.000 naliczono kosztów założenia itp. Co zostało, wypożyczono zgłaszającym się klientom, którzy otrzymawszy razem 170.000 winni byli Bankowi około 300.000, od których obowiązani byli płacić rocznie około 45.000 odsetków w ratach półrocznych. Po trzech półroczach, odsetków tych wpłynęło razem około 10.000 a tymczasem zbliżał się termin wypłaty czwartego kuponu, do którego potrzeba było doliczyć niemniejszą superdywidendę, niż przeszłego roku, jeżeli chciano robić dalsze operacje i utrzymać kurs obligów na giełdzie. Potrzeba tedy było 35 tysięcy — niedostawało 25 tysięcy, a sprawozdania ajentów z prowincji były coraz bardziej opłakane, bo dłużnicy ani myśleli o dotrzymywaniu terminu. Wobec tego faktu, p. Kluszczyński wraz z dr. Mitręgą ułożyli genialny plan dalszej emisji obligów, na który zgodziła się cała Rada zarządzająca. Przyznała ona jednocześnie dr. Mitrędze na klucz Zrębowski 50.000 pożyczki, i szanowny dyrektor miał nadzieję zrealizować ją wkrótce, zapłacić około 30.000 należących się bankom i zostać z 25ma tysiącami gotówki w kieszeni.

Plan ten był atoli dopiero naszkicowanym, istniał bowiem zaledwie od dwudziestu czterech godzin, tj. od powrotu dr. Mitręgi z Krachenburga. Najgenjalszy plan nie da się odrazu zmienić »na drobne«, a tych było bardzo potrzeba dr. Mitrędze, bo właściciel pysznego pomieszkania, które zajmował, nie otrzymawszy od dawna czynszu, przedsięwziął był energiczne kroki sądowe. Pani Natalja, którą mąż utrzymywał w ciągłej niewiadomości rzeczywistego swego stanu interesów, była mocno zaniepokojoną. Do sypialni jej wtargnął był właśnie tego poranku woźny sądowy i doręczył jej jakiś papier. Było to wezwanie do dr. Mitręgi, ażeby natychmiast opuścił zajmowane w domu p. X. pomieszkanie, pod groźbą fizycznego przymusu. Dr. Mitręga uspokoił żonę, i poszedł pomówić z właścicielem, któremu raz jeszcze zaimponował miną niezrównanej pewności siebie. Właściciel zdecydował się czekać jeszcze trzy dni. P. dyrektor, mocno zirytowany temi wszystkiemi zajściami, udał się do Banku, gdzie zastał p. Bandurę, p. Abla, i dr. Cygańskiego, tj. trzech członków zarządu, w żywej dyskusji z p. Kluszczyńskim. Powodem tej dyskusji było, iż według wiadomości zasiągniętych przez pp. Abla i Cygańskiego, kasjer Banku Filodemicznego, p. Salewicz, przegrać miał temi dniami w karty około 1000 idealnikow.

Był to ten sam Salewicz ze Stawiczan, którego matka, podpisana przez niego na wekslu, sprzedała była p. Wołodeckiej los chaocko-teremteckiej pożyczki loteryjnej. Pozyskał on był względy p. Bandury i rekomendację p. Kluszczyńskiego, wskutek czego, jakkolwiek nie miał kaucji, wbrew opozycji p. Abla i dr. Cygańskiego został kasjerem nowo założonego banku. Obydwaj ci oponenci, którzy mieli *in petto* innego kandydata na tę posadę, śledzili bardzo pilnie wszystkie czynności p. Salewicza, i udało im się wyśledzić to, o czem mowa. Dr. Mitręga także go nie lubił, z powodu jego zuchwałej i wcale nieuniżonej miny. Usłyszawszy więc, o co chodzi, oświadczył się za jak najsurowszem dochodzeniem całej sprawy.

— Przedewszystkiem — rzekł — należy nam przedsięwziąć to, czegośmy dotychczas, wbrew statutom, nigdy jeszcze nie robili, a mianowicie, *scontro* kasy.

— A, prawda, scontro kasy! — zawołali jednogłośnie pp. Abel i Cygański.

Dr. Mitręga zabrał się energicznie do tej czynności, i w porównaniu z dziennikiem kasowym, znalazł brak około 1200 idealników. Nastąpiła krótka narada, na której, stosownie do wniosku dr. Mitręgi, postanowiono wezwać interwencji najpierw policji, a potem sądu. Nie zważając na wszelkie błagania winowajcy, ani na jego przedstawienia, że dziennik kasowy i inne księgi nie znajdują się w należytym porządku, że rzecz wyjaśni się po bliższem rozpatrzeniu, że oprócz własnej pensji za bieżący miesiąc, nie wziął z kasy ani mizeraka, posłano po policję.

Matka Salewicza znajdowała się przypadkiem w Wilkowie. Doniesiono jej natychmiast o uwięzieniu syna. Przestraszona i zrozpaczona kobieta biegała od jednego członka zarządu do drugiego, od tego do dr. Mitręgi — wszyscy byli zimnymi jak głazy i nieubłaganymi jak kodeks. Nakonie, ktoś jej powiedział, że p. Wołodecki jest w bardzo dobrych stosunkach z dr. Mitręgą. Pobiegła więc do niego, padła mu do nóg, prosząc, żeby ją ratował. Stanisław chwycił za kapelusz i pospieszył do banku Filodemicznego. Dr. Mitręga wyszedł był na chwilę, przyjął go p. Bandura, któremu bez zwłoki wyłożył, co go sprowadza. P. Bandura jako dawniejszy protektor rozgniewany był

mocno na Salewicza, ponieważ go skompromitował, ale Wołodeckiego przyjął grzecznie, jako dziennikarza. Nie wiedział tylko, w jakiby sposób można przyjść w pomoc p. Salewiczowi — chybaby kto zaręczył za niego, i to oczywiście ktoś taki, w kim Bank może pokładać zaufanie.

— A gdyby np. dr. Mitręga — zaczął Stanisław.

— Zapewne, gdyby dr. Mitręga wziął na siebie, możnaby mu pomódz, ale czy dr. Mitręga zechce?

— Mniemam, że zechce.

W tej chwili wszedł szanowny doktor do pokoju.

— Pan u nas, panie Wołodecki! Czem panu możemy służyć? — zawołał wesoło.

Stanisław prosił go o parę minut poufnej rozmowy. Znalazłszy się z nim sam na sam, przedstawił mu, że jego matka jest w przyjaźni z p. Salewiczową, tak strasznie dotkniętą uwięzieniem jej syna. Ponieważ zaś p. Bandura zapewnił go, że jedno słowo dr. Mitręgi wystarczy, ażeby ubić całą sprawę, więc prosi p. doktora, ażeby wyrzekł to słowo.

— Panie Wołodecki — rzekł dr. Mitręga z godnością i z ojcowskiem niejako namaszczeniem — jesteś pan na błędnej drodze. Zbrodniarzy nie powinno się ratować z rąk sprawiedliwości, która ich dosięga. Zresztą, chciej pan zważyć, że musiałbym chyba sam zapłacić to, co ten łotr sprzeniewierzył.

— Broń Boże! Tego nie śmiałbym żądać. Ale jeżeli pan łaskaw — zwłaszcza że cała zdefraudowana kwota wynosi tylko 1200 idealników, jak mi mówiono — to możeby pan chciał potrącić to swojego czasu od tej bagatelki...

Stanisław nie zdołał przypomnieć dr. Mitrędze wyraźniej, że jest jego wierzycielem. Na samą wzmiankę zresztą o tym szczególe, dr. Mitręga uśmiechnął się jakoś kwaskowato, i zawołał:

— Jeszcze co! Sprawa ta nie ma przecież nic wspólnego z defraudacją Salewicza! Bank nie może wdawać się w takie rzeczy; ja tu działam w imieniu Banku. Dobry, wieczór, panie Wołodecki.

Ostatnie te słowa były rodzajem majestatycznego pożegnania, na znak, że audjencja skończona. Stanisław nie ustąpił atoli, ani też nie nalegał na dr. Mitręgę, ażeby poręczył za Salewicza sumą, lub częścią sumy, którą mu był winien. Powiedział tylko, że może mu się uda do wieczora znaleść inne jakie resursy, i uprosił, by dr. Mitręga udał się do policji z prośbą, by się wstrzymano z oddaniem Salewicza sądowi do jutra rana, pod pozorem np. że bank musi dokładniej zbadać księgi i przekonać się, czy nie zaszła jaka pomyłka. Dr. Mitręga przyrzekł to, poczem powiedział raz jeszcze:

— Dobry wieczór, panie Wołodecki.

Na ulicy przed bankiem czekała na Stanisława nieszczęśliwa Salewiczowa. Opowiedział jej, czego dokonał, i nie czekając ani chwili, udał się pędem do Smiechowskiego. Miał zamiar, zaryzykować część kapitału matki, albo też poradzić się przynajmniej, w jakiby sposób użyć można biletu, na którym dr. Mitręga zeznał dług, u niego zaciągnięty. Na nieszczęście, czy na szczęście, Smiechowski wyjechał był przed godziną niespodzianie w sąsiedztwo, strzelać kuropatwy i zające — oczekiwano go dopiero nazajutrz koło południa.

— Ale co panu jest, panie Stanisławie? — zapytała go niespokojnie panna Marynia, udzieliwszy mu tej wiadomości. Jesteś pan zmienionym i zmięszanym, nie do poznania.

— Nic, to nic... tylko... wielkie nieszczęście...

— Mój Boże, jakie nieszczęście? Niech mi pan wszystko powie — ja chcę, żeby pan *mnie* wszystko powiedział!

I popatrzyła na niego tak dziwnie, jak niedawno przy pewnej sposobności, którą później opowiem, ażeby nie przerywać wątku bieżącej sprawy. Nadmienię tylko, że działo się to już w parę miesięcy po pojawieniu się owej poszeweczki z literami M. S. na *jaśku* Stanisława. Nadmienię także, że nie bez kozery podkreśliłem słowo: mnie, w przemówieniu panny Maryni. Stanisław wzbraniał się dość długo usłuchać tego rozkazu, ale w końcu, rad nie rad, musiał się wyspowiadać ze swego niepokoju i kłopotu.

— Ach, jakie to nieszczęście, że ojca nie ma w domu! — zawołała. — Ale, poczekaj pan — ile potrzeba czerwonych złotych, ażeby było 1200 idealników?

— Dwieście? Ach, to doskonale — krzyknęła, klaskając w dłonie. Poczekaj pan chwilkę na mnie!

W istocie, wybiegłszy, bawiła tylko chwilkę, i wróciła, wznosząc z tryumfem w górę piękną sakiewkę, w której brzęczało złoto.

— Oto jest dwieście czerwieńców — wołała. Od czterech lat, t. j. od czasu, gdy skończyłam lat dwanaście, ojciec daje mi co roku na imieniny pięćdziesiąt czerwonych złotych, a to, jak powiada, ażeby nie potrzebował suszyć sobie głowy nad innemi prezentami. Masz pan, bierz, biegaj, mieniaj, i nieś do banku!

Stanisław pod wpływem pogodnej atmosfery, wiejącej w domu Smiechowskich, począł był zastanawiać się chłodniej nad swoim zamiarem i powiedział już sobie był, że Władysław będzie się starał wszelkiemi siłami odwieść go od naruszania kapitaliku matki na cel, którego chwalebność była nieco wątpliwą. Tem mniej mógł przyjmować pieniądze od Maryni. Nastąpiły targi, w które wdała się i p. Smiechowska. Obydwie kobiety tak go przysiadły, że musiał w końcu skapitulować. Wyszedł więc, chociaż niechętnie, wykonać ich wolę.

Po drodze przyszło mu mijać gmach sądowy. Na ulicy, u drzwi, spostrzegł mdlejącą kobietę. Była to p. Salewiczowa.

Już było za późno. Przed chwilą policja oddała jej syna w ręce sędziego śledczego, na usilne żądanie dyrekcji banku Filodemicznego, jak jej powiedziano.

Dodam tutaj, czego jej nie powiedziano, że dr. Mitręga trudził się osobiście na policję, ażeby przyspieszyć tę sprawę. Interwencja Wołodeckiego była mu nie miłą, i chciał położyć jej koniec tym sposobem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RECEPTA NA ZŁOŚNICĘ.

Komedja Szekspira

STUDJUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Recepta na złośnicę, jeden z pierwszych tworów Szekspira, przez długi przeciąg czasu mało uwagi na siebie zwracał. Najżarliwsi czciciele autora, a na czele ich Szlegel, osądzili ją jako komedyjkę lekko naszkicowaną, która przeto na głębszy rozbiór nie zasługuje. Tegoż zdania była i publiczność, co znała ją tylko z przedstawień scenicznych, przerobioną do tego stopnia, że oryginału połowa zaledwie została, a i ta tylko jako rola popisowa dla aktorek.

Gdy zaś w najnowszych czasach krytyka rozszerzyła swój widnokrąg, i poczęto obzierać się za źródłami, z których czerpał Szekspir, oraz za płodami literatury dramatycznej jemu współczesnej, lub jeszcze dawniejszej, natenczas wyszły na jaw wątpliwości do dziś dnia nie rozstrzygnięte, czyli „Recepta na złośnicę" jest jego tworem, a nie raczej innego autora, a on ją tylko dodatkami i poprawkami zbogacił.

W r. 1594 wyszła bowiem z druku komedja pod tytułem w dosłownem tłumaczeniu: „Poskromienie złośnicy", która w krótkim czasie doczekała się drugiego i trzeciego wydania, a i na scenie przedstawioną była. W roku 1623 wciągnięto ją do wydania in folio wszystkich dzieł dramatycznych Szekspira, ale z dodatkami i licznemi zmianami tekstu pierwotworu.

Zostawiając stanowcze rozwiązanie wątpliwości co do autorstwa krytykom-specjalistom w tym zawodzie, zaprzeczyć nie da się, że wiele znamion mówi za autorstwem Szekspira. Przedewszystkiem mistrzowskie przeprowadzenie i styl *sztuki przedwstępnej*, oraz sam wybór przedmiotu, gdyż »*historja o Lordzie i biednym czeladniku*«, na zachodzie i wschodzie pod różnemi postaciami rozpowszechnioną była. Użyto ją na tło do komedji, farsy, melodramatu, uwiecznił ją *Kalderon* w dramacie swoim »*Życie snem*« a w nowszych czasach odżyła pod pórem *Grillparzera* w jego utworze »*Sen życiem*«. Stara komedja polska z 17-go wieku Piotra Baryka pod tytułem „Chłop król" obrabia ten sam przedmiot; tożsamo pan Jowialski Aleksandra Fredry. Przemawia równie za autorstwem Szekspira umiejętne wcielenie do komedji „Poskromienie złośnicy" drugiej i to nie mniej nie więcej tylko komedji Ariosta „Suppositi".

Do tego charakterystyka »*Petrukia*« w pierwszej połowie sztuki, arcydziełem jest w swoim rodzaju. Występuje on z oświadczeniem, że szuka bogatej partji. „Pieniądz (mówi) jest zwrotką moją przy tańcu weselnym, zjeżdżam do Padwy, by ożenić się bogato." (akt 1-szy scena druga).

Postanawia z tego powodu poślubić posażną Katarzynę za nim ją poznał, a gdy ją po-

znał, pomimo przesadnych pochwał z jego strony, nie widać aby czuł do niej pociągu. Jest to pomysł bardzo trafny; inaczej jakżeby przemógł na sobie takie tortury jej zadawać. Gdy znajomi opisują mu usposobienie jej i dziwią się, że ma odwagę dziką ową kocicę poślubić, odpowiada on w pełnem poczuciu wyższości swojej, „czyż sądzicie, że trochę hałasu zdoła mnie zastraszyć? Nie słyszałem-że ryku lwa w puszczy, i morza podczas burzy, nie oswoiłem że się ze strzałami armatniemi? a wy mnie tu straszycie językiem kobiecym.“ Pewność ta siebie nie opuszcza go na chwilę, gdy oświadcza się o rękę Katarzyny, (akt 2-gi scena 1-sza).

Scena ta jest najpiękniejszą w sztuce, a pomimo niektórych rubaszności w dyalogu jedną z najpiękniejszych w komedjach Szekspira.

Petrukio na chwilę nie przypuszcza, aby mógł doznać odmowy. Gdy zoczył swą panię po raz pierwszy, mówi do niej, „witam cię Kasiu, bo jak słyszałem, tak nazywasz się.“ Mówi o jej piękności, łagodnem usposobieniu, co ją ująć musi, bo takich pochwał nie słyszała jeszcze. Nakoniec znużony przycinkami jej, na które zawsze trafnie odpowiadać umie, stanowczo jej oświadcza: „Kasiu ja będę ci mężem, jakiego ci trzeba, chcesz czy nie chcesz, będziesz moją żoną“.

W innem świetle przedstawia nam się Katarzyna. Mowę jej cechuje cynizm. Odpowiedzi jej są śmiałe, często niegrzeczne w najwyższym stopniu, a przecież przebija się w tem wszystkim pociąg jaki czuje do Petrukio. Kłótnica nie stawia oporu, gdy dowiaduje się, że ojciec nie pytając się jej, dysponował jej ręką, a gdy narzeczony oznajmia jej, iż ślub odbędzie się już za dni kilka, ona i tę wiadomość ze znaczącem przyjmuje milczeniem. Nadchodzi dzień ślubu i gotowe wszystko, nie ma tylko pana młodego, a Katarzyna z obawy, by jej nie opuścił, zalewa się łzami.

Przylgnęła więc do niego, bo uznała jego wyższość i różni się w tem na swą korzyść od heroin w innych komedjach Szekspira, które wszystkie kochają namiętnie nędzne lub upośledzone indywidua (ob. Cimbelinę — Wiele hałasu o nic — Dwaj kawalerowie z Werony).

Ślub odbył się, i zaczyna się teraz właściwa akcja t. j. »*poprawa złośnicy*«. Ale co wielu utworom nawet celniejszym Szekspira zarzucić można, i tu widzieć się daje. Druga połowa nie ziszcza oczekiwań, które pierwsza wznieciła. Po mistrzowskim wstępnym zakroju, charakterystyka zniża się do poziomu, akcja kuleje, ostateczne rozwiązanie niezadawalniające.

Jedna scena tylko stoi na wysokości poprzedzających, gdy Petrukio aby okazać, że jest panem u siebie, żonę prosto od ołtarza, nie czekając bankietu weselnego, i mimo jej próśb i oporu z domu rodzicielskiego wywozi. „Kasia, (mówi przytem) jest to moja własność, mój dom. Biada temu kto ją dotknie, albo drogę w Padwie mi zastąpi“ (akt 3ci scena 2ga). Ale już zachowanie się jego podczas obrzędu ślubnego, żonę nietylko oburzyć, ale w oczach sług i obcych poniżyć go musiało. „Gdy (opowiada sługa) ksiądz go się zapytał: chcesz Katarzynę pojąć za żonę, on wrzasnął: chcę. i zaczął kląć tak przeraźliwie, że księdzu z rąk księga wypadła, a gdy się schylił, by ją podnieść, pan młody zadał mu taką plagę, że go na ziemię powaliła. Po ślubie Petrukio woła „wina“, a gdy mu podano puhar z winem muszkatelowem, on wypróżnia go, a resztki rzuca zakrystjanowi w twarz. „Ze wstydu (mówi dalej sługa) uciekłem z kościoła“ (akt 3ci scena 2ga).

Przecież po mistrzu takim jak Szekspir, słusznie spodziewać się było można, że Petrukio moralną i umysłową swą wyższością, przeto środkami łagodnemi przedsięweźmie żony poprawę, którą, będąc kochanym, tem łatwiej mógł dokonać.

Szekspir przeciwnie ze wszystkich powieści, które mu służyły za źródło, obrał te, które ten przedmiot ze stanowiska najwięcej brutalnego obrabiają, i nie dość na tem, w gburowatości przechodzi nawet źródła swoje. I tak w jednej z tych powieści mąż zabija w oczach żony najlepszego swego konia, ulubioną suczkę, sokoła, przyczem poucza ją, że los ten czeka każdego, co mu się sprzeciwiać będzie; a to żonę tak przeraziło, że odtąd pełniła jego wolę.

W komedji przeciwnie. Petrukio moralną kurację żony od tego zaczyna, że gdy w drodze do zamku męża, ona z konia spada a koń na nią, on ją nie ratuje (4ty akt 1sza scena), cały dzień ją głodzi, a w nocy oka zamróżyć nie da. Na domiar tego, nietylko obcy, jak Hortensio, musi mu być w tem pomocnym, ale mąż dozwala własnej służbie ubliżać Katarzynie, pani domu, i gdy ta u lokaja żebrze o kawał chleba, ten zbywa ją grubemi żartami.

Co zaś najwięcej oburza, to cynizm, z jakim Petrukio wyraża się o tej, którą obrał za towarzyszkę życia. „Objąłem więc władzę, mówi, i osiągnę cel mój. Sokoł mój głodny, lecz póki nie ułaskawię go, zostanie on głodnym. Inaczej nie pójdzie mi na lep. A użyję jeszcze innego środka, aby stawił się zawsze na mój świst; nie dam mu spać (4ty akt 1sza scena).

Katarzyna, dręczona dniem i nocą, wygłodzona, zakrzyczana, upokorzona, przystaje na wszystko. Zgadza się z mężem, że to godzina siódma, pomimo że zegar drugą wskazuje, że w południe nie słońce ale miesiąc świeci, że starzec, który im drogę zaszedł, był ładną dziewczyną (akt 4ty scena 3cia i 5ta), Wszak tak samo postąpił Polonius z Hamletem, mając go za warjata.

I to ma być moralną poprawą, to, rozwiązaniem psychologicznego problematu?

Z dwojga jedno. Albo Katarzyna, biorąc ją na duchową miarę, nie o wiele wyżej stała od konia, sokoła lub wyżła, i z tego powodu tylko według metody Petrukia ułaskawioną, raczej tresowaną być mogła. W tem przypuszczeniu nie ma dla niej miejsca na scenie, która tylko ludzkiemi przymiotami i przywarami zajmuje się. Albo też była ona inteligentną, a tylko znarowioną istotą, jak ją mąż przed ślubem opisał. Natenczas powiedziała sobie, że przemocy chwilowo poddać się wypada, co też w finalnej przemowie, której nikt nie zawierzy, uczyniła; lecz oraz pomyślała, że tyranja do tego stopnia niedorzeczna, trwać długo nie może, tyran zaś domowy, gdy raz osłabnie, łatwo się da usidlić, a natenczas biada mężowi, który w żonie człowieczeństwa nawet szanować nie umiał, stawiając ją na równi z bydlęciem. Do zasłużonej pogardy przyłączy się bowiem i zachcianka zemsty.

Kronika Tygodniowa.

...I pusto, głucho, tęskno jak gdy szczęście minie!“ Tak jest czytelnicy, pusto i głucho na ulicach Lwowa; ostatnie sztandary wykopano, chorągwie zdjęto, bruków nie zamieciono, deszcz parę razy na dzień kropi, a poczciwi ludziska sprzeczają się jeszcze, co i kiedy Najjaśniejszy Pan mówił do kogo, czy był incognito na kopcu Unii czy nie był, i czy rzeczywiście przyjdzie do uczty straży honorowej w sali Grzywińskiego, lub czy nie przyjdzie? Na jednej tylko wieży seminarjum grecko-unickiego, wałęsają się jeszcze czarno-żółte i przez wiatr sponiewierane flagi, po które jak się zdaje szanowni Rusini nie mają odwagi wdrapywać się tak wysoko. I któż jeszcze po takim fakcie śmie wątpić o lojalności tej frakcji w Galicji?

Jedna z gazet tutejszych radzi magistratowi, aby tymczasowe statuy ustawione przed ratuszem, kazać wykuć z kamienia i ustawić na chwałę Lwowa. Powiada, że ta bagatelka kosztować będzie również bagatelkę 15.000 złr.... Mój Boże drogi, jakżeż autor tego artykułu musi być zamożnym, jeżeli dla niego piętnaście tysięcy guldenów, jest taką drobnostką. — Projekt ten polecamy bacznej uwadze ojców miasta, po ukończeniu rachunku kosztów przyjęcia monarchy; być może wydali mniej niż się spodziewano, warto więc zrobić sobie tę przyjemność.

Zauważyliśmy, iż przy przeżuwaniu wrażeń z pobytu Cesarza u nas, wrażeń noszących tytuł „Echa z pobytu Najjaśniejszego Pana.“ — zaczyna się ludność Galicji grupować na zupełnie nowe stany. Mieliśmy dotąd wysoką szlachtę i pospolitą szlachtę, mieszczaństwo i lud wiejski, — dziś mamy tylko dwie klasy: tych co mówili z Najjaśniejszym Panem i tych co nie mówili. Redakcje pism podające sprawozdania z ostatnich uroczystości, zarzucane są listami i reklamacjami żądającemi sprostowania różnych a różnych faktów, co który burmistrz przemówił, a co nie przemówił, kto był w Łupkowie, a o nim nie wspomniano, kto urządzał banderje i wystawił transparent, kto był w kontuszu, słowem tyle pretensji, dąsań, impertynencji nawet, że wszystkich i na wołowej skórze by nie spisał. Poczciwi ludziska napytali sobie kłopotów i zmartwień, doznali zawodów i uciech — ot i jakoś żyło się goręcej przez dwa tygodnie, po których następuje cisza jak zwykle po ogniach bengalskich. Wprawdzie Czas krakowski wypisał ogromnie długi artykuł wstępny o korzyściach, jakie kraj odniesie z pobytu monarchy, lecz przyznajemy tak delikatnie mistyczno - dyplomatyczny, że tylko sąsiadujący z redakcją tego pisma, potrafią prawdziwe znaczenie jego odgadnąć. Nas tylko uderzyły wyrażenia o historycznej szlachcie i rodach, które do czegoś wziąć się powinny, i bierzemy za słowo tych panów — niech się naprawdę do czegoś na serjo wezmą. Podług ogólnie powtarzanych zdań, przyjęcie serdeczne cesarza miało prócz celu oddania czci i okazania miłości dla panującego monarchy w Austrji, poboczne znaczenie podraźnić trochę sąsiedniego pana i dowieść mu, że Polacy umieją ocenić ludzkie z nimi postępowanie. O ile się zdaje, i o ile nasze informacje prywatne sięgają, tam nad Newą i w Liwadji nic sobie z tego nie robią, a uporu ich i nienawiści względem rodaków naszych nic

nie złamie. Przeciwnie, demonstracja nasza jeszcze bardziej irytuje do tego stopnia, że wszelkie przedstawienia jenerał-gubernatorów o jakieś choćby małoznaczące ulgi — znajdują tę samą odpowiedź: „nie czas na to“. Nie tyle może sam car, co otoczenie jego pała wielką nienawiścią dla nas, bo zdarzyło się w tych czasach, że gdy pod niebytność ministra spraw wewnętrznych, arcybiskup Fijałkowski pojechał do cesarza prosić o uwolnienie biskupa wileńskiego Krasickiego z wygnania, i cesarz dał się uprosić — to za powrotem ministra zdolano zmienić to wszystko: biskup Krasicki pozostał na wygnaniu, [a sędziwy Fijałkowski dostał wygowor, jak śmiał wprost udawać się do cara z prośbami. Pokazuje się zatem z tego wszystkiego, że Moskale ustąpią, ale wtedy jak będą musieli — o dobrowolnych ulgach nawet mowy nie ma!

A tu u nas w Galicji polityku ją na ten przedmiot bardzo szeroko i głęboko, bo i cóż biedni ludziska mają robić, gdy takie pustki w gazetach jak nigdy. Flota sprzymierzona wybiera się i wybiera do owego Dulcigna, jak sójka za morze, a my dzień po dniu od kilku tygodni czytamy, że płynie, że będzie bombardować, że posyła ultimatum, a tymczasem jak w owej zagadce:

„Pędzi jak wiatr prostą drogą,
Stoi na miejscu i kiwa nogą.“

Toż samo, chociaż to może nie tak zupełnie pasuje, powiedziećby się dało i o wskrzeszeniu towarzystwa archeologicznego. Znowu się zabiera do rozpędzenia się, znowu się reformuje, a członkom swoim zamiast własnego czasopisma proponuje „Spójnię“, pismo będące organem stowarzyszenia dla rozbudzenia przemysłu i handlu w Galicji. Dalibóg, jakie tu podobieństwo zarząd odszukał między archeologią a przemysłem — trudno nam zrozumieć, jak również trudno pojąć następujące ogłoszenie komitetu wystawy etnograficznej w Kołomyi, w którem zapraszając na uroczystość otwarcia tej wystawy, tak się odzywa do wszystkich redakcyj pism polskich: „W końcu uprasza komitet wszystkie dzienniki polskie, których niniejsze ogłoszenie by nie doszło, o zamieszczenie takowego.“ Ciekawa historja, jak tu zamieścić to, co nas nie doszło? — prosimy komitet kołomyjski o komentarze...

Zima się zbliża, jaskółki odleciały, deszcz jesienny zaczyna już bębnić po szybach, a zapowiedziane głośno kasyno literacko-artystyczne nie daje znaku życia, kółko literackie już się sprzykrzyło. Szewc postępowy dał sobie pokój i wziął się do zelowania starzyzny. U nas wszystko tak zawsze idzie, stuku, puku, hałasu dosyć — a potem cicho, sza, ziewamy sobie swobodnie, dusząc się w dymie tytuniowym w cukierniach i dobrze jest!

A propo tytoniu, jego ekscelencja minister rodak, zrobił nam niespodziankę, kazał popodnosić ceny idąc za radą p Hausnera. Ztąd wielki lament między palaczami, ujmują sobie porcje, wywłóczą stare fajki z za szafy i skończy się niezawodnie na zmniejszeniu odbytu... Zresztą podniesienie cen tytoniu — to jeszcze najmniejsza klęska, ale w Wiedniu obraduje komitet do uregulowania podatku gruntowego i niechno on nam zaśpiewa podwyżkę — dopiero to powstanie lament obywatelski! My tu w mieście, to jeszcze pół biedy, zwłaszcza lokatorowie, choć wiemy, że kochana rada miejska tylko czatuje, aby nam podnieść opłatę procentową od lokali, a że to nas nie minie gdy Rada kieszeń swoją policzy, to pewniejsze niż amen w pacierzu, ale kto się bierze do szlachty, będzie się miał spyszna!

* * *

Warszawski świat artystyczny, zajęty jest małym geniuszkiem muzycznym, ośmioletnim skrzypkiem, Pankracym Wyganowskim, mieszkającym obecnie z rodzicami w Warszawie. Przed rokiem występował on już publicznie w Petersburgu, gdzie grą swoją wprawił w zdumienie wszystkich, tak, że W. książę Konstanty, postanowił go zatrzymać w Petersburgu i polecił nawet urządzić dla niego osobną klasę w konserwatorjum muzycznem cesarskiem. Ale klimat północny nie służył dziecku i rodzice radzi nie radzi, musieli z nim osiąść w Warszawie. W tych dniach ośmioletni ten wirtuoz, dawał w Warszawie koncert, na którym wykonywał najtrudniejsze kompozycje Beethowena, Mendelsohna i Wieniawskiego i budził podziwienie biegłością, pamięcią, a nadewszystko utwierdził wiarę w niezwykły swój talent, odegraniem kilku własnych, wcale udatnych kompozycyj. Dotychczas nauczycielem jego był tylko ojciec, a jakkolwiek recenzenci warszawscy przyznają, że gra małego Wyganowskiego nie jest i nie może być zupełnie skończoną, to wszakże dziecko, które w czwartym roku życia wzięło do rąk skrzypce a w ósmym do tak wielkich doszło rezultatów, odznacza się w każdym razie talentem fenomenalnym. Ponieważ rodzice Wyganowskiego nie są zamożni, więc kilku bogatych warszawskich przemysłowców postanowiło zająć się dalszem kształceniem tego wielkiego in spe artysty.

* * *

Nowy mamy przykład lekkomyślności i braku wytrwałości naszego ogółu. Pisma warszawskie gorżko żalą się na nagłe zobojętnienie dla „Ziarna“. Wydawnictwo to, powiadają, przedsięwzięte w celu szlachetnym, w imię którego kilkaset ludzi dobrej woli stanęło w jednej chwili na zawołanie, dla którego kilkunastu z nich poświęciło tyle trudu i czasu; wydawnictwo to, o którem cała prasa zagraniczna odezwała się z wielkiem uznaniem — w pierwszej chwili obudziło wśród nas żywe zajęcie, tak, że około 10.000 egzemplarzy rozeszło się w jednym miesiącu i zdawało się, że trzeba będzie pomyśleć o nowej edycji; lecz nagle zapał ostygł i ze smutkiem i wstydem widać po księgarniach spore zapasy tego plonu ofiarności chwalebnej, dla którego niestety już konsumentów zabrakło. A zabrakło właśnie w chwili odezwy redakcji „Ziarna“, że część dochodu z niego dla nieszczęśliwych pogorzelców przeznacza i po wiadomości o klęskach jakie na górnym Szlązku burze i powodzie świeżo sprawiły. Zagranicznych publikacyj tego rodzaju rozeszło się po kilkakroć stotysięcy, czeskiego „Narod sobe“ kilkadziesiąt tysięcy dla nas,— siedmnastu tysięcy egzemplarzy było za wiele.

Toż samo a nawet gorzej dzieje się z wydawnictwem jubileuszowem „Wyboru pism Kraszewskiego.“ Z rachunków ogłoszonych w Sierpniu okazuje się, że ilość niewykupionych tomów wynosi 31.675!!, co przedstawia szkodę rs. 15.837 dla jubilata. Gdyby przynajmniej te tomy stanowiły egzemplarze kompletne, lecz pierwszego i drugiego brak zupełnie, trzeciego mało co zostało, dalszych coraz więcej, a piętnastego 5110 egzemplarzy. Nikt więc dziś nowego kompletu dostać nie może i dobrzeby uczynili posiadacze początkowych tomów, skoro już nie chcą reszty wykupić, gdyby je zwrócili wydawcy, dla skompletowania egzemplarzy, przez ich lekkomyślność zdefektowanych. Tak to dzieje się u nas ze wszystkiem. Z początku zapał szalony, po miesiącu obojętność, po dwóch zapomnienie. Tym sposobem żadne przedsięwzięcie udać się nie może i rzeczywiście też mało się nam które udaje.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Akta grodzkie* i ziemskie z czasów rzeczypospolitej polskiej, z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacji śp. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem Wydziału krajowego, tom VIII. 4-to majori str. 351. Lwów 1880. 5 złr.

— *Asnyk* (E...ly) Poezje tom III. 8ka str. 239. Lwów 1880. 1 złr. 80 ct.
Oprawne w płótno ang. 2 złr. 30 ct.

— *Bain Aleks.* Nauka wychowania. Przekład z ang. pomnożony rozdziałem o wykładzie języka polskiego. 8ka str. 568. 3 złr. 40 ct.

— *Bartus Marja.* Poezje. Wyd. drugie. 8ka str. 150. Lwów 1880. 1 złr. 40 ct.

— *Bonawentura św.* Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa w pobożnych rozmyślaniach zawarty. Tłumaczenie O. Prokopa Kapucyna. 8ka str. 496. 2 złr. 25 ct.

— *Chmielowski Ant. ks.* Kazania o dobrych uczynkach, miane w kolegjacie łowickiej. 8ka duża str. 250. Warszawa 1880. 1 złr. 60 ct.

— *Drewnowski Fr.* Przegląd historyczny wyrobu i konsumcji piw krajowych w Warszawie w roku 1880 zobrazowany. 8ka str. 51. Warszawa 1880. 45 ct

— *Dzieduszycki Wojciech dr.* Wykłady o pierwszej filozofji jako rys dziejów filozofji. 8ka str. 102. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Elpenora J. J.* Doctrina Perversa czyli nauki doświadczonego praktyka dane synowi, który w stopniu doktora medycyny z zagranicy wraca. 8ka str. 64. Warszawa 1880. 32 ct.

— *Frühling i Schulz.* Podręcznik do rozbiorów chemicznych, produktów przemysłu cukrowniczego i gospodarstwa wiejskiego dla cukrowników w ogólności, tudzież dla gospodarzy wiejskich, uczniów szkół przemysłowych i rolniczych, opracowany przez Kazimierza Marusiewskiego i Józefa Stamirowskiego. 8ka str. 187. Warszawa 1880. 4 złr. 50 ct.

— *Garczyński Stefan.* Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r. i Sonety wojenne (Bibljoteki Mrówki tomik 100). 16ka str. 64. Lwów 1880. 20 ct.

— *Glogier Zygmunt.* Gody weselne. 394 pieśni i śpiewek weselnych polskich z ust ludu i źródeł etnograficznych drukowanych. 8ka str. 199. Warszawa 1880. 60 ct. kartonowane 75 ct.

— *Golichowski Norbert ks.* Żywot błogosławionej Małgorzaty Marji Alacoque. 16ka str. 172. Lwów 1879. 30 ct.

— *Gomulickiego — Szmideberga* illustrowany przewodnik po Warszawie, ozdobiony planem miasta, widokami piękniejszych gmachów i miejscowości, galerją typów warszawskich i szkicami cha-

rakterystycznemi. Rok I. 1880. W pięknej oprawie. 1 złr. 10 ct.

— *Grudziński St.* Pod szczęśliwą gwiazdą. Powieść obyczajowa. 8ka str. 196. Warszawa 1880. 1 złr. 20 ct.

— *Hempel Alexy.* Rozkład kosztów na budowę lub reparację zabudowań kościelnych i kościołów, sporządzony na mocy informacji, zatwierdzonej przez Radę Administracyjną z dnia 15 (27) marca 1863. 8ka str. 67. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Hryniewiecka Helena.* Buchalterja domowa. Edycja nowa poprawna. Warszawa 1880. 1 złr.

— *Jerzykowski Prof. Ant.* Gramatyka łacińska dla szkół gimnazjalnych i realnych. Trzecie wydanie. 8ka str. 200. Gniezno 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Jerzykowski A.* Mała gramatyka języka niemieckiego dla początkującej młodzieży polskiej, ułożona po polsku i po niemiecku. Wydanie szóste przejrzane. 8ka str. 81. Gniezno 1880. 60 ct.

— *Jerzykowski Antoni dr.* Zadania do tłumaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie, dla klas niższych, z autorów klasycznych zebrane i podług gramat. ułożone. 8ka str. 357. Gniezno 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Justi dr. F.* Historja starożytnej Persji, przełożył z niem. Bronisław Grabowski. 4to str. 192 Warszawa 1880. 1 złr. 80 ct.

— *Krasicki Ignacy.* Dzieła. Wydanie najkompletniejsze ze wszystkich dotychczasowych. 6 tomów. 8ka duża str. 474, 456, 441, 482, 476, 452. Warszawa 1880. 12 złr.

— *Krauze Fryderyka.* Z wycieczki w Tatry. 8ka str. 32. Warszawa 1879. 30 ct.

— *Kwadrans* rozmyślania samotnego. Dziełko potwierdzone i zalecone przez Zwierzchność duchowną, przekład z franc. 32ka str. 64. Warszawa 1880. 17 ct.

— *Lubowski E.* Sąd honorowy. Komedja w 5ciu aktach. 8ka str. 230. Wilno 1880. 1 złr. 35 ct.

— *Morgenbesser Al.* Myślący burmistrz. Poemat humorystyczny w siedmiu pieśniach (Bibl. Mrówki tomik 99.) 16ka str. 60. Lwów 1880. 20 ct.

— *Nowicki Wł.* Szlachetna zabawa, oryginalne powiastki, opowiadania i komedyjki dla młodzieży. Zbiór drugi z drzeworytem. 8ka str. 257. Warszawa 1880 kartonowane 1 złr. 15 ct.

— *Odrzywolski Sławomir.* Dawny zamek królewski na Wawelu. Materjały do restauracji (rysunki). Zeszyt I. tablic 4. Kraków 1880. 1 złr. 40 ct.

— *Okoński W.* Klemens Boruta. Powieść. 8ka str. 56. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Polanin Zbigniew.* Walka Rusinów z Rusinami. 8ka str. 31. Lwów 1880. 30 ct.

— *Powiastki i opowiadania* humorystyczne (odbitka z Kolców) 8ka str. 528. Warszawa 1880. 1 złr. 35 ct.

— *Praktyczny kucharz* warszawski, zawierający 1502 przepisów różnych potraw, oraz pieczenia ciast i przygotowywania zapasów śpiżarnianych. Wydanie drugie powiększone. 8ka str. 547. Warszawa 1880. 1 złr. 70 ct.
W oprawie w płótno ang. 2 złr. 55 ct.

— *Przepisy* praktyczne i doświadczone pieczenia ciast oraz przygotowywania wszelkich zapasów śpiżarnianych przez autora Kucharza warszawskiego. Wydanie drugie. 8ka str. 240. Warszawa 1880. 1 złr. W oprawie w płótno ang. 1 złr. 70 ct.

— *Przyborowski Walery.* Oblężenie Warszawy. Powieść historyczna z końca XVIII. wieku. 8ka str. 175. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Sienkiewicz Henryk.* Za chlebem. 8ka str. 84. Poznań 1880. 24 ct.

— *Skórczewski dr.* Kartki z wycieczek balneologicznych. I. Czechy i Tyrol. 8ka str. 108. 50 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Beniowski. (Bibljoteka Mrówki tomik 95, 96.) 16ka str. 134. Lwów 1880. 40 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Król duch. (Bibljoteki Mrówki tomik 97.) 16ka str. 63. Lwów 1881. 20 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Książę niezłomny, (z Kalderona) Bibljoteki Mrówki tomik 91, 92. 16ka str. 136. Lwów 1881. 40 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Sen srebrny Salomei. Bibljoteka Mrówki tomik 93, 94. 16ka str. 168. Lwów 1880. 40 ct.

— *Słowacki Juljusz.* Wacław. Poezje ulotne. (Bibljoteki Mrówki tomik 98.) 16ka str. 80. Lwów 1880. 20 ct.

— *Smiles Samuel.* O charakterze, spolszczył W. Przyborowski. Wydanie drugie. 8ka str. 286. Warszawa 1880. 85 ct.

— *Spielhagen Fr.* Natury zagadkowe. Romans w 4 tomach przełożył Józef Pracki. 8ka str. 300, 351, 386, 272. Warszawa 1880. 6 złr.

— *Sulima Zygmunt Lucjan.* Pamiętniki powstańca z 1863 i 1864 roku. (Bończa — Chmieliński — Bosak — Krzywda.) 8ka str. 175. Lwów 1880. 1 złr.

— *Stowe Beecher H.* Chata wuja Tomasza, czyli życie niewolników w Zjednoczonych Stanach północnej Ameryki. 8ka str. 463. Warszawa 1878. 1 złr. 45 ct.

— *Strumiłło Józef.* Ogrody północne. Wyd. siódme przerobione i pomnożone przez Wł. Tynieckiego. Tom I. Sadownictwo (z drzeworytami) 8ka str. 272. Wilno 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Świętochowski dr. fil.* O epikureizmie. 8ka str. 53. Warszawa 1880. 60 ct.

— *Synoradzki M. H.* Konkury pana podkomorzyca. Powieść. 8ka str. 272. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Sypniewski Juljusz.* Wełna pod względem handlowo-przemysłowym. 8ka str. 19. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Szujski Józef.* Historji polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście. 8ka str. 429. Warszawa 1880. 4 złr. 25 ct.

— *Tarczyński Hip. B.* Jan Samulczak czyli chciwość ukarana. Powiastka ludowa osnuta na tle prawdziwego zdarzenia. 8ka str. 43. Warszawa 1880. 25 ct.

— *Tokarski T.* Nauka gospodarstwa domowego, dla użytku wyższych szkół żeńskich i wykształconych gospodyń. Zeszyt I. 8ka str. 80. Rzeszów 1880. Za całość 1 złr.

— *Wójcicki K. Wł.* Historja literatury polskiej w zarysach dla młodzieży. 8ka str. 420. Warszawa 1879. W oprawie w płótno ang. 3 złr.

— *Wojsław Z.* Przystępny wykład prowadzenia poszukiwań w skałach uwarstwowanych za pomocą szurfowania. 8ka str. 95 i mapa. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Zbiór nabożeństwa* do świętego Antoniego Padewskiego. 16ka str. 128. Warszawa 1879. 40 ct.

— *Zieliński Wł. K.* Nie bez nadziei. Powieść osnuta na tle życia węgierskiego. 8ka str. 14. Lublin 1880. 15 ct.

— *Zieliński Wł. K.* Ze wspomnień żołnierza. 8ka str. 293. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** „Pamiętniki Powstańca z 1863 i 1864 r. wydane i przypisami uzupełnione przez Zygmunta Lucjana Sulimę“, wyszły z druku w oddzielnej odbitce. Stanowią one 1-szy tom „Bibljoteki Pamiętników z powstania 1863 i 1864 r., którą tem dziełem rozpoczęła wydawać Księgarnia Polska we Lwowie.

*** W taniem wydawnictwie „Bibljoteki Mrówki“, znowu wyszły z druku trzy utwory Juljusza Słowackiego, a mianowicie: Beniowski, Król Duch i Wacław.

*** Z pomiędzy wydawnictw akademji krakowskiej mamy do zaznaczenia cenną monografję p. t. „Materjały do demonologji ludu ukraińskiego.“

Książka ta jest odbitką z obszernego tomu spawozdań, który w roku bieżącym ukazał się w druku.

Praca pomieniona, jako materjał etnograficzny, ważnym jest przyczynkiem dla badaczów ludoznawstwa i zawiera obfite szczegóły dotyczące wierzeń, przesądów i obyczaju.

Autor podaje wszystko na podstawie naocznego sprawdzenia, a więc podług oryginalnych wersyj wprost posłyszanych od ludu, na miejscu.

W ten sposób monografja rzeczona odznacza się wiernością materjału i zasługuje na prawdziwe uznanie.

*** Pan J. K. Corvin Piotrowski wydał sporych rozmiarów książkę p. t. „Gambetta.“

Jest to studjum nad czynami i życiem francuskiego męża stanu, zestawione wedle dokumentów urzędowych, najnowszych publikacyj i luźnych notatek.

Tom — powtarzamy — spory, liczący bowiem dwadzieścia siedm arkuszy druku, zapełnił autor szczegółami z życia Gambetty, oraz historją wypadków politycznych, w jakich brał udział od czasu sedańskiej klęski aż do chwili ostatniej.

Autor jest bezwzględnym wielbicielem prezydenta obecnego izby francuskiej; Gambetta wychodzi z pod jego pióra czystym jak łza, bez zarzutu.

Pan Piotrowski oceniał Gambettę jako syna Francji a nie jako męża politycznego, ztąd pominął te źródła, które go w niekorzystnem względem nas stawiały świetle, jak naprzykład publikację p. Wołowskiego i dokumenta w niej zawarte.

Co do zasadniczego punktu, z jakiego zapatruje się autor na czyny Leona Gambetty, trudno cośkolwiekbądź powiedzieć.

Raz bowiem w odnośnikach (str. 384) unosi się nad Veuillot'em, gdzieindziej zaś występuje jako literalny wielbiciel Gambetty a więc *eo ipso* przeciwnik jezuitów.

Książka cała pisana jest ciepło, z ogniem i werwą młodzieńczą.

Język w studjum tem poprawny.

*** Elementarzyk Częstochowski, ze starą metodą sylabizowania, p. t. „Nauka czytania pisma polskiego z przydatkiem nowego katechizmu“, jest najbardziej rozpowszechnioną książeczką polską. Właśnie w tym miesiącu wyszło w Częstochowie u Kohna i Oderfelda *szóste* wydanie tego elementarza w liczbie *stu tysięcy* egzemplarzy.

*** W Warszawie opuściło prasę „Ze wspomnień żołnierza“ Wł. K. Zielińskiego.

*** Pani Marcelina Barańska napisała i wydrukowała w Piotrkowie komedję. p. t. „Wielki świat małego miasteczka“.

*** Słownika geograficznego zeszyt IX. wyszedł z pod prasy i zawiera wyrazy od *Chotyniec* do *Cycylja*.

*** Wkrótce ma być rozpoczęte w Warszawie wydawnictwo zbiorowe, poświęcone pracom ściśle naukowym, z dziedziny nauk przyrodzonych. W pierwszym numerze, pomieszczoną będzie praca dra Strasburgera z dziedziny botaniki.

*** L. Kurtzman przełożył bardzo pięknie sielankę Słowackiego: „W Szwajcarji“ i umieścił ją w wiedeńskim roczniku „Dioskuren“ na 1880 r.

*** Prof. J. Perwolf (uniw. warszawski) zamieścił w czasopiśmie „Muzeum czeskie“ wykaz źródeł historycznych do dziejów czeskich w związku z polskiemi w XV i XVI wieku.

*** Dr. Wurzbach w wiedeńskiem piśmie Heimath ogłosił artykuł „O Sędziwoju“.

*** Dzienniki naukowe czeskie podają pochlebną ocenę ostatniego dzieła Świerzbińskiego p. t.: „Wiara słowian“.

*** Dziennik kroacki *Wieniec* rozpoczął druk drobnych wierszy Mickiewicza w udatnym przekładzie.

Kto pracy tej dokonał, nie wiemy.

*** W Indjach zjawiła się 16-to letnia poetka, panna Sara Dult, która tworzy świetne obrazy osnute na tle życia miejscowego. Pisze w języku Hindusów i sama utwory swoje tłómaczy na angielskie.

*** W Paryżu w tych dniach ukaże się nowe dzieło Aleksandra Dumasa p. t. »*Les femmes qui tuent*«.

*** W Londynie zaczął wychodzić nowy tygodnik p. t.: „Popołudniu z najlepszymi pisarzami“ z programem podawania ustępów z najznakomitszych autorów. Na pierwszy numer składają się; Dickson, Irwing, Schelley, Disraeli i Andersen.

*** Górą... Tanner.

Na cześć jego w Madrycie zaczęło wychodzić nowe czasopismo: *Przegląd gastronomiczny*.

Co to znaczy dobra inicjatywa!

*** Gazeta rolnicza w nr 38 r. b. zawiera: 1. Projekt ustawy leśnej dla królestwa Polskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. O kaniance, napisał dr. A. Sempołowski. 4. Z dziedziny zoohygieny gospodarskiej, skreślił Władysław Sękowski. 5- Listy z Francji przez Nemo. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Kurjer rolniczy. 10. Odcinek zawiera: U stóp Wawelu, napisał Starża.

Nauka

*** Do Rapperswilskiego muzeum, p. H. Bukowski, konserwator, nabył wiele przedmiotów naukowych w Szwecji, jak monety, medale, stare druki i wiele broszur szwedzkich do dziejów polskich XVII i XVIII wieku.

*** P. M. E. Sosnowski, zarządzający biljoteką Raczyńskich w Poznaniu, wydał rozprawę „Kuno Tischer“ oceniającą tego filozofa.

*** Profesor warszawskiego uniwersytetu Pawiński, udał się na kongres archeologiczny do Lizbony.

*** Rząd dozwolił na utworzenie na uniwersytecie Jagiellońskim zwyczajnej katedry teologii moralnej i nadzwyczajnej prawa kanonicznego, a zarazem przyznał temu wydziałowi, począwszy od roku przyszłego, prawo udzielania stopni doktorskich; tym sposobem wydział teologiczny został zrównany z innemi.

*** W Stanie Massachussetts, przy uniwersytecie w Northampton, katedrę literatury angielskiej otrzymała kobieta, pani Katarzyna Seaborn.

*** Słuchacze wydziału lekarskiego na uniwersytecie Brukselskim, wystosowali następującą odezwę do komitetu organizującego kongres studentów. „Doszło do naszej wiadomości postanowienie komitetu dotyczące kwestyj lekarskich, jakie mają być poddane pod dyskusję kongresu. Wolno jest zapewne komitetowi obierać dowolnie przedmioty dyskusji i poddać pod obrady kongresu kwestję utworzenia katedry homeopatji na uniwersytetach belgijskich. Z tem wszystkiem mamy przekonanie, że podobna kwestja bynajmniej nie odpowiada życzeniom niezmiernej większości studentów medycyny uniwersytetu Brukselskiego. Dotychczasowe nasze studja, jak również zdrowy rozsądek dostatecznie nas oświeciły, co sądzić mamy o homeopatji i jesteśmy przekonani, że doktryna ta stoi niżej godności dyskusyj naukowych. W oczach naszych homeopatja jest zaprzeczeniem nauki i zdrowego rozsądku; na dyskusję więc nad nią zgodzić się nie możemy, jak niezgodzilibyśmy się na rozprawy nad jakimś przesądem, lub szarlatanizmem.

Sztuki Piękne.

*** Franciszkowi Krudowskiemu, uczęszczającemu na wiedeńską akademję sztuk pięknych, a okazującemu wysokie zdolności malarskie, udzielone zostało na lat dwa stypendjum w sumie 1500 złr. dla dalszego kształcenia się.

*** Na wystawę krakowską sztuk pięknych przybyły: Chmielewskiego „Wizja Marji Magdaleny“ „Cmentarzysko;“ Eismonta „Sielanka;“ Leopolskiego „Portret K. Grocholskiego;“ Maleckiego „Krajobraz z nad Wisły.“

*** P. Kochańska zaangażowaną została jako pierwsza śpiewaczka do opery włoskiej w Petersburgu.

*** Operę „Mindowe“ nabyła od p. Jareckiego Dyrekcja warszawskich teatrów.

*** Czeski *Swetozor* podaje wizerunek Włodzimierza Spasowicza z obszernym życiorysem.

*** W czeskim *Swetozorze* znajduje się drzeworyt wyobrażający „Cmentarz żydowski“ na Rusi czerwonej, podług powszechnie cenionego płótna Stryjowskiego, malarza z Gdańska.

*** Petersburska *Niwa* pomieściła w swoich łamach „Obchód weselny ludu wiejskiego pod Krakowem“, z drzeworytem podług rysunku Kossaka.

*** *Ilustracja wiedeńska* pomieściła rycinę z obrazu Ajdukiewicza przedstawiającego: „Manewra wojskowe“ i odpowiednie objaśnienia z wielkiemi dla twórcy tego dzieła pochwałami.

Ajdukiewicz w czasie manewrów galicyjskich znajdował się w sztabie cesarskim.

*** P. Aleksander Strakosch, głośny w Niemczech profesor deklamacji scenicznej, przybywa w końcu października do Warszawy, celem dwukrotnego wystąpienia na estradzie.

Strakosch jest od dziesiątków lat nieodłącznym towarzyszem Henryka Laubego i gdzie tylko słynny dramaturg obierze sobie pole działania, tam staje zaraz przy nim wypróbowany mistrz deklamacji, kształcąc artystów w scenicznej wymowie.

Całe pokolenie najcelniejszych współczesnych aktorów niemieckich Strakosch'owi zawdzięcza szkołę dykcji.

Był on za czasów Laubego recytatorem w wiedeńskim *Burgtheater*, następnie wraz z nim przeszedł do „teatru miejskiego“ tamże.

Dopiero gdy Laube złożył dyrekcję teatru, Strakosch ustąpił także ze swej stałej posady i objeżdża teraz większe miasta niemieckie z odczytami tragedyj Szekspira i poetów niemieckich.

W Warszawie zamyśla Strakosch czytać „Fausta“ i „Hamleta“.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Książę Aleksander Lubomirski, który ofiarował dwa miljony franków na zakłady dobroczynne w Galicji, liczy lat 78. Mieszka on stale w Paryżu i jest wdowcem bezdzietnym. Jest on najstarszym synem Franciszka Ksawerego i Teofili hr. Rzewuskiej. Żoną Aleksandra była Julja Radziwiłłówna.

*** W Hawrze dnia 14. listopada rozpoczną się obrady kongresu robotników; na porządku dziennym stoją: wynagrodzenie, własność, kobieta i jej stanowisko, publiczne nauczanie.

*** Dr. Buchanan w Filadelfji, znany handlarz fałszywych dyplomów doktorskich, o którym rozeszła się wieść, iż celem uniknięcia odpowiedzialności utopił się w rzece Delaware, aresztowany został w Michigan; dostawiony on zostanie do Filadelfji, gdzie wytoczony mu będzie proces.

*** W Wilnie wzniesionych zostanie wkrótce kilka nowych gmachów rządowych, a mianowicie: gmach sądu okręgowego (kosztem 170,000 rs.), gmach izby sądowej (90,000 rs.) i obserwatorjum astronomiczne na miejscu spalonego na Zakrecie (rs. 42,603 kop. 90); nadto część gmachu klasztoru po-dominikańskiego przerobioną zostanie kosztem 29,721 rs. na areszt policyjny i areszt z wyroków sędziów pokoju.

*** Karaibi, lud na Małych Antyllach, mówią dwoma językami, z których jednym posługują się wyłącznie mężczyźni, a drugim kobiety. Dwa te narzecza niewiele mają do siebie podobieństwa. P. Lucjan Adam wydał gramatykę tych języków p. t. „Du parler des hommes et du parler des femmes dans la langue caraibe.“

*** Wiosna tegoroczna fatalny wpływ wywarła na wszystkie prawie winnice nad brzegami Renu i jego dopływów. Noce 18. i 19. maja zmroziły wszystkie nowe pędy szczepów.

*** *Koleje żelazne w Japonji* zaprowadzane są nader szybko. Niedawno ukończono dwie nowe linje przecinające wyspę Jesso, z wysp Japońskich najbardziej wysuniętą ku północy. Szyny pochodzą z fabryk angielskich, parowozy i wagony ze Stanów Zjednoczonych. Parowozy zaopatrzone są w przyrząd do zatrzymywania iskier, co jest rzeczą nieodzowną w Japonii, gdzie wszystkie domy są drewniane a najmniejsza iskra na suchy dach spadła, mogłaby stać się powodem spalenia całej wioski i zniechęcenia do dróg żelaznych.

Odkrycia i wynalazki.

*** W Toruniu, przy czyszczeniu starego koryta Bachy, robotnicy znaleźli znaczną ilość starych monet, pomiędzy któremi było wiele cennych egzemplarzy. Najwięcej z nich nosi stempel toruński, kilka gdański i elbląski. Jedna moneta miała liczbę roku 1378. Najliczniejsze były monety zdawkowe z lat od 1770 do 1807.

*** P. Fr. K. Martynowski odkrył pogańskie cmentarzysko w Sosnowcu, w Kongresówce, na granicy pruskiej.

*** P. Kirkor powrócił już do Krakowa ze swojej wycieczki na Powiśle, gdzie odkryto grobowiska na przestrzeni kilku morgów i wydobyto wiele urn, trochę bronzów i t. d.

*** Dyrektor Jan Palisa w Pola odkrył jeszcze jednego małego planetę pomiędzy Marsem a Jowiszem.

*** *Temps* donosi z Sydney, iż w okolicy odkryte zostały bogate pokłady złota.

*** We wsi St. Lucia odkryte zostało przez dra Bizzaro obozowisko rzymskie. Dotychczas znaleziono niezliczoną ilość urn z popiołem, kocioł napełniony szpilkami i ozdobę kobiecą, a oprócz tego wiele pojedyńczych szpilek i przedmiotów służących do ozdoby. Dalsze poszukiwania są prowadzone.

*** W Narbonne we Francji, pewien robotnik kopiąc fundamenta, odkrył urnę napełnioną złotą i srebrną monetą, której wartość dochodzi 230.000 fr. według praw obowiązujących, jedną połowę znalezionego skarbu otrzyma robotnik a drugą miasto.

ROZMAITOŚCI.

OSIOŁ W HISTORJI.

POGADANKA.

Jednakowej opinji używa gęś wśród ptaków, a osioł pomiędzy czworonożnemi zwierzętami...

Mówią o niej, że głupia; o nim twierdzą to samo.

Zasłużenie, czy niezasłużenie długouchy, siwy, niezgrabny *equus asinus* skazany został raz na zawsze na to, aby uchodził za głupca i kompromitował porównaniem z sobą wszystkich, począwszy od króla Midasa a skończywszy na ostatnim pachołku, któremu chlebodawca z pogardliwą miną powiada przy lada okazji: „ty ośle!...“

Biedakowi Europa nie posłużyła; powiadają przyrodnicy, że to dopiero u nas zgłupiał tak nieborak, a że w ojczyźnie swojej, którą ma być Abissynja — do dzisiejszego dnia jeszcze zachował takie przymioty, jak spryt, roztropność, temperament ognisty i pokaźną prezencję.

Podobno Adamem w rodzie osłów miał być według jednych *equus taeniopus*, według innych *equus onager pall*; ten ostatni protoplasta żyje w dużych stadach dziko w stepach Tartarji i pod względem chyżości może iść o lepsze z niejednym koniem dobrze trenowanym.

Ułaskawiony na Wschodzie zachowuje swoją przyrodzoną inteligencję, którą u nas przytępia w nim ostry klimat, także pożywienie i złe obchodzenie się właścicieli, uważających osła za nieboskie stworzenie.

Na Wschodzie też bywa on rosłem, pięknem niemal zwierzęciem; u nas karłowacieje i przybiera kształty i maniery prostaka.

Tam dumnie i śmiało podnosi głowę, tu ją melancholicznie zwiesza ku ziemi; tam uchodzi za bardzo wygodnego i chyżego wierzchowca, tutaj dźwiga powoli worki do młyna, nosi wodę i piasek, a bez batoga usnąłby chyba w połowie drogi.

Tu i tam wszelako odznacza się wytrwałością, cierpliwością, umiarkowaniem i siłą.

Mimo to stracił dobrą opinję u ludzi; w przysłowiach odgrywać musi nieszczególną rolę, w bajkach zawsze śmieszny i potrącany, w rzeczywistości popychany i bity.

Peruwianie powiadają:

„Lima jest niebem dla kobiet, czyśćcem dla mężów, a piekłem dla osłów“ — to bliskie sąsiedztwo mężów z osłami, co prawda — gorszem jest dla tych pierwszych, aniżeli dla ostatnich.

Tschudi opowiada w swoich peruwiańskich szkicach z podróży następujące szczegóły o tamtejszych osłach:

„Co rano negrowie z pobliskich wiosek i kolonij pędzą po 60 do 80 długouchych siwoszów do Limy, obładowanych sianem, koniczyną i inną paszą dla bydła.

Pastuch sam siedzi na najtęższym osiołku z długim batem w ręku, którym bezustannie ćwiczy inne osły, pobudzając je do szybszego biegu; swego zaś wierzchowca kole aż do krwi w uda drewnianym szpikulcem, wyrywając mu często kawałki skóry i mięsa.

„Sposób ten podniecania energji w biednym zwierzęciu zastępuje ostrogę; widziałem raz negra który rozgniewawszy się na swego osła zmęczonego długą drogą, przystanął na uboczu, odpiął drewniane strzemię i póty bił niem nieszczęsnego kłapoucha, dopóki go nie zabił“.

Wprawdzie spospolitowano osła i ośmieszono dosyć po wszystkie wieki, ale też nie brak przykładów, że najwięksi ludzie swego czasu wsławiali go i pamięć o nim przekazywali potomności...

Demostenes np. w jednym ze swych retorycznych popisów, anegdotkę zmyśloną o cieniu osła uratował sprawę swojego klienta, którą wytaczał przed sędziami.

Stało się jakoś, że sędziowie byli roztargnieni dnia tego i nie słuchali uważnie mówcy; wówczas sprytny Grek odstąpił od przedmiotu i zaczął im opowiadać o pewnym fikcyjnym procesie między właścicielem osła a wypożyczającym go kupcem.

Kupiec położył się bowiem w cieniu osła i chciał wypocząć, lecz go właściciel spędził ztamtąd twierdząc, iż osła wypożyczył mu co prawda, lecz cienia nie wypożyczał wcale.

Łamigłówka prawna zainteresowała szlachetnych sędziów, lubujących się w tego rodzaju sofistycznych i retorycznych zagadnieniach.

Wówczas Demostenes powstał na nich z oburzeniem:

— Więc to tak mości — panowie?.., o moim kliencie, którego życie, lub śmierć waży się na szali sprawiedliwości waszej, słuchać nie chcecie, ale o cień osła gotowiście nadstawić uszu, a może i czuba w gorących rozprawach nad tym wypadkiem!...

Historja ta o „oślim cieniu“ weszła w przysłowie.

Z czasów szkolnych nie jeden wspomina sobie „ośle mosty“ w geometrji, albo logice: wyrażenie to powstało jeszcze w XIV wieku, za czasów scholastycznego filozofa Buridana.

Buridan był nauczycielem filozofji w Paryżu, zkąd musiał zemknąć z niewiadomych powodów; utrzymują niektórzy, iż z przyczyny zbyt poufałego stosunku z królową Joanną, małżonką Filipa Pięknego.

Ot, plotki ludzkie!...

Paryski filozof udał się do Wiednia, gdzie przyczynił się do założenia uniwersytetu i wykładał swój przedmiot *ex cathedra*.

W systemacie logiki starał się ułatwić wyciąganie wniosków za pomocą reguł, które nazwano „oślemi mostami“, czyli mostami, przez które nawet osioł mógł był przejść śmiało i bezpiecznie z jednego pojęcia do drugiego, jak z brzegu do brzegu.

Oto przykład na próbę; zadawał on takie pytanie, które później Fredro w „Panu Jowialskim“ w formie bajeczki spożytkował.

— Co się stanie z osłem postawionym między dwoma wiązkami siana, które go jednako nęcą i jednako smacznemi się wydają.

— Padnie z głodu — miała być odpowiedź.

W nowszych czasach pewna dowcipna dama znalazła wszelako inne rozwiązanie.

— Jeżeli jest bardzo głodnym — rzekła — to najpierw zje jedną wiązkę, a potem drugą; gdyby tego nie uczynił, byłby kapitalnym... osłem!

Aristoteles, Dante, Voltaire w utworach swoich osłu poświęcili także część natchnienia.

W biblji dosyć często spotykamy się z jego wspomnieniem; najpierw u Mojżesza (4.22) w opowiadaniu o oślicy Balaama, następnie w 15tym rozdziale księgi sędziów, w którym uwiecznione zostały bohaterskie czyny Samsona, gromiącego oślą paszczęką filistynów.

Osiołka z wołem zastajemy przy betlejemskim żłobie, po narodzeniu Chrystusa; na ośle odbywa się ucieczka do Egiptu, wjazd tryumfalny do Jerozolimy.

Na pamiątkę tego ostatniego zdarzenia odbywały się swego czasu w Niemczech i we Włoszech uroczystości, w ktorych osioł odgrywał ważną rolę.

W Rouen np. co roku w dzień Bożego Narodzenia przeciągała przez ulice miasta procesja, w której występowali wszyscy sławni mężowie, królowie i bohaterowie starego testamentu, odpowiednio ukostjumowani i ucharakteryzowani.

Rozumie się, że w tej grupie nie brakło i Balaama z oślicą.

W wielu miejscach pamiątkę wjazdu tryumfalnego do Jerozolimy odbywano podobnież w niedzielę palmową, przeprowadzając osiołka z wielką procesją po ulicach, przy odgłosie dzwonów i nabożnych pieniach.

Ponieważ zaś żywy egzemplarz „konia Chrystusowego“ częstc znachodził się bardzo niewłaściwie i wbrew powadze swej roli wyprawiał ucieszne, albo też gorszące wybryki, przeto zastąpiono go później egzemplarzem drewnianym, zupełnie według natury odrobionym.

Tego drewnianego osła na kółkach posuwał lud, albo też chłopcy — ministranci, śpiewając stosowne pieśni.

Najczęściej osioł taki, jak koń trojański, był wewnątrz wydrążony i zapełniony wielkanocnemi pisankami, które po ukończeniu procesji, jako poświęcane pamiątki uroczystości, rozsprzedawano pomiędzy lud; później zwyczaj ten zniesiony został, gdy się zakradały nadużycia i nieprzystojne domieszki do całej ceremonji.

Możnaby przytoczyć jeszcze wiele przykładów o osłach w historji kultury udział mających, ale wolimy i tak przedługą gawędę o kłapouchym zakończyć wspomnieniem osiołka, który się już w naszem stuleciu wsławił.

Było to w roku 1816.

Fregata *Ister*, płynąca z Gibraltaro do Malty, osiadła na mieliźnie; załoga ratowała się na łodziach, a biednego osła który znajdował się na pokładzie, wrzucono w morze.

Pomimo wzburzonych fal, biedne zwierzę nie utonęło i potrafiło doplynąć do brzegu.

Po kilku dniach u bram Gibraltaru zjawił się osioł wychudzony i wynędzniały, który własnym instyktem kierował się po drodze i wrócił do stajni swego dawnego pana...

Od miejsca, w którem fregata zatonęła aż do Gibraltaru, oślina zrobił przeszło dwieście mil angielskich w okolicy górzystej i często strumieniami poprzerzynanej, ale „nie ma złej drogi do mojej niebogi“...

Że go po drodze nie schwycili wieśniacy i przechodnie, zawdzięczał tylko swoim przedziurawionym uszom, co oznaczało, że kiedyś dźwigał na swoim grzbiecie kryminalistów i zbrodniarzy, których po karze cielesnej wsadzano na niego i przywiązywano do jego uszu.

Odznaki te były rodzajem pogardliwego piętna dla osłów...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 39. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.